



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Antryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Co za dziwne czasy nastały!... stanowczo coś się w niebie zepsuć musiało, a i we wnętrze ziemi jakieś nieporządki się wkrały, raz po raz słyszemy o burzach, katastrofach, powodziach, trzęsieniach ziemi, awanturach atmosferycznych it.p. niespodziankach, które grożą mieniu, życiu, zdrowiu i spokojowi bezbronnym śmiertelników.

Nie koniec na tem; uczeni geologowie, meteorologowie, astronomowie przepowiadają jeszcze gorsze siurpryzy dla świata, poczem dopiero będzie lepiej dla tych, którzy tego dożyją.

Ponieważ nie mam ochoty wynosić się z tego teatru, nazwanego „Globem“ przed ukończeniem zajmującego widowiska, mam nadzieję doczekać się zmian pomyślniejszych, pogodniejszego nieba, spokojniejszej ziemi, a tymczasem cieplejszej aury, któraby w połowie Czerwca nie przypominała Listopada.

Te chłody zepsuły nam nasz letni karnawał i pograżyły w najczarniejszym humorze *sportsmenów* lądowych i wodnych; obiecywano sobie tyle z wyścigów na Mokotowskich Polach, które na nowym torze, w nowym ogrodzeniu, wśród nowych trybun, łóż, stajen i totalizatorów miały nabrać więcej europejskiego splendoru, a tymczasem deszcze i chłody psuły po większej części zamierzony efekt.

Niepocieszona muszą być nasze damy, dla których wyścigi są zarazem wystawą strojów, najświeższej mody, najbardziej oryginalnego gustu, szyku i zbytków. Wszystko to ma już w naszej prassie specjalnego sprawozdawcę, który argusowem okiem „tam sięga, gdzie wzrok“ profanów sięgnąć nie może, i sumiennie opisuje każdy ko-

styum, każdy kapelusz, każdą falbankę na naszych warszawskich strojnisiach. Raut, bal, wieczorek, koncert, wyścigi, chrzest czy ślub w naszym high-lif'ie, nie obejdzie się bez całych szpalt szczegółowego sprawozdania modnej kostymologii.

Nie każdemu chyba śmiertelnikowi nieba dały tak płaską głowę, aby go nawet w sezonie ogórkowym zajmowały pompony hrabianki P. lub stannik uroczej pani K.

Wogóle kwestya toaletowa za dużo nam zabiera czasu, miejsca i pieniędzy.

Byłem przed dwoma tygodniami na przedstawieniu najnowszej komedyi p. Kazim. Zalewskiego, o której nie miałem przyjemności pisać na tem miejscu sprawozdania, ale która nastęrczyła mi tęsamą uwagę zpowodu wystawnych strojów aktorek. Dumas zabierał niegdyś głos w prassie francuzkiej, powstając na kwestyą spódniczkową, i dowodził, że suknia ruinuje aktorkę, jak wystawa teatr. Olbrzymie summy pochłania garderoba bohaterki - dzisiejszej komedyi, i pierwszych naiwnych; talent ich pracuje na krawców i modystkę, wszystkie niemal dochody idą na fatalaszki, w których próżność kobieca równoważy się z ambicją artystyczną.

— Daj mi pan złą rolę — mówiła jedna z nich do autora — byłem mogła w każdym akcie pokazać się w nowym kostymie, a będę miała powodzenie.

Obawiam się czy na naszej scenie nie zanosi się na podobny obłęd i czy nasze Sary Bernhardt, nasze Croisetki i Samary nie zaczynają zanadto rywalizować materyałem na suknie, zamiast materyałem swego talentu.

Skromniej i taniej, byle z dobrym smakiem: oto zasada, jaką radbym widzieć wypisaną nad naszą garderobą teatralną. Stało się to zwyczajem, że żadna nowa sztuka nie może się obejść bez nowych toalet; wydatki na gałganki strojne wzra-

stają, ale honorarya autorów... pozostają, niestety, bez zmiany.

W tych warunkach wołałbym być krawcówką teatralną, niż komedyopisaczem: miałbym przytem większe dochody, a mniej kłopotów z krytyką.

Wychodząc z za kulis, muszę przejść przez scenę, na której powiewnemi nóżkami magnetyzuje obecnie włoska balerina Zucchi niedobitków tradycyi baletowej. Oryginalna to tancerka, która więcej zdaje się mieć talentu dramatycznego, niż zdolności do piasów.

Nie znam się nic na „szkole“ i prawidłach wyrzucania nóżkami w górę i w bok, nie wiem, jakiego geniuszu potrzeba do młynkowania całym ciałem w takt muzyki; ale to wiem, że po raz pierwszy na balecie zacząłem rozumieć wymowę gestów i mimiki, patrząc na p. Zucchi. Zdawało mi się, że słyszę jej monologi, że mógłbym nawet spisać to wszystko, co ona rękoma, nogami, grą całej fizyognomii wypowiada w tańcu.

Południowy temperament zaciera może łagodną i estetyczną miarę wdzięku w jej ruchach, ale działa na widza urokiem siły, zapалу, pewnej poezyi zmysłowej, którą córka gorącej Italii zaprawia swój taniec.

Piękne dni sławy naszego baletu minęły, żyje on resztkami dawnej tradycyi, ale coraz więcej ociążały, powiększa balast sceny, zmuszonej utrzymywać go kosztem innych działów sztuki. Repertuar nie przedstawia również nic uwagi godnego, ale chcąc go odnowić według dzisiejszej modły zagranicznej, potrzebaby ogromne summy ryzykować z wątpliwem powodzeniem. Więc, jak pajac na sznurku, balet warszawski odsakuje swoje dawniejsze sztuczki.

Z początkiem Czerwca rozpoczął się sezon ogródkowy; trzy namioty rozbiła sobie Melpomena w Belle-Vue, Alhambrze i w Nowym-Swiece, ale Boreasz i Danaidy psocą jej i przeszkadzają złośliwie. Stanowczo ogródki się przeżyły w Warszawie; trupy wędrownie źle zorganiz-

zowane, dobór sztuk nie ciekawy, gra niżej krytyki. Jeszcze najwięcej obiecującym wydało mi się towarzystwo p. Szymborskiego w Alhambrze; nie brak w niem rutyny, brak tylko wybitniejszych talentów. Reszta—Bożego zmiłowania wygląda. Litość bierze patrzeć na owych panów dyrektorów, z których każdy wygolony, wystrojony z uroczystą miną składa wizyty po redakcyach i stereotypowo zapewnia, że zrobił wszystko, co do niego należało, a teraz losy swoje składa w ręce szanownej prassy, od której całe powodzenie zawisło. Albo to prawda!

Człowiek nie ma serca ganić, ale sumienie nie pozwala mu chwalić; pozostają tedy teatrzyki ogródkowe na łasce publiczności, która kieruje się, już nie smakiem do sztuki, ani miarą krytyczną, ale smakiem... piwa, i tam bardziej ucześnie, gdzie lepszemu bawara świeżo spod czopa spodziewać się może.

Melpomena poszła tedy zupełnie w arendę Gambrynusa; oby jej tam lekko było w tej służbie!

Ostatni raz patrzałem na biedną „Lenę“ p. Karczewskiego (Maryana Jasińczyka), która pomimo zalecania sądu konkursowego, nie mogła się dostać na warszawską scenę, bo jej zarzucano pewne grzeszki drażliwej natury, zapomniawszy, iż onego czasu wystawiano u nas „Dyonizę“ i „Odette“ i „Georgette“ i „Francillon“, o wiele grzeszniejsze od tej biednej polskiej rozwódki, która tem błędzi, że kocha—nie złego męża, ale kuzynka.

Uóż patrzałem na srogą pokutę biednej „Leny“ skazanej przez losy na wędrowną tułaczkę po prowincyi i tortury w Belle-Vue.

Postanowiłem zatrzymać się dziś dłużej w dziedzinie sztuki, dlatego z ogródków przechodzę do naszego Salonu przy Krakowskim-Przedmieściu, gdzie zapobiegliwy komitet na wabika sprowadził i wystawił kilkanaście obrazów zagranicznych mistrzów, a między nimi „Wjazd Alaryka do Rzymu“ prof. Lindenschmida, „Pięć zmysłów“ i „Wiosnę“ Makarta.

„Alaryk“ jest dziełem wielkich rozmiarów, opartych na wyjątku z historii Rzymu według Gregoroviusa. Wódz gotów na początku V-go w. po Chrystusie oblega Wieczne Miasto i do zrabowanej Stolicy świata wjeżdża, jako zwycięzca polecając swoim żołdakom, aby świątyniom chrześcijańskim zwrócić zabrane skarby i kosztowności.

Widzimy go w przepyszej zbroi na karym koniu, asystującego młodzieńcom, którzy na noszach z gałkami oliwnymi w ręku, dźwigają mnóstwo złotych i srebrnych naczyń i aparatów kościelnych zrabowanych w katedrze św. Piotra. Na ulicach wre jeszcze mord i orgia rozszalałego żołdactwa, korzystającego z praw zwycięzców.

Obraz duży, malowany starannie, ale z jakąś sztywnością akademicką i chłodem niemieckiego profesora—sprawia wrażenie ugrupowanych figur woskowych. Lindenschmit liczy dziś około sześćdziesięciu lat, utworzył mnóstwo dzieł mniejszej i większej wartości artystycznej; przeważnie Reformacja dostarczała mu tematów do obrazów. Tym razem sięgnął w historią dalszą, ale chybił efektu. Przed jego „Alarykiem“ widz staję zimny, obojętny, nieczuły, nie wierzy ani w popłoch, ani w tryumf, ani w szlachetność zwycięzcy, zamyka zupełnie zmrużone oczy i wraca myślą do innego obrazu, który miał sposobność podziwiać na tem miejscu, a który dzisiaj znajduje się na wystawie w Paryżu; przypomina sobie wjazd tryumfalny „Dziewicy Orleańskiej“ i nie chce potem patrzeć na „Alaryka“, aby sobie wrażenia nie zepsuć.

Obok Lindenschmita w drugim przedziale roztaśował się Makart i kilku malarzy dzisiejszej szkoły niemieckiej; ostatnie dzieło nowoczesnego Rubensa: „Wiosna“, zajmuje najwięcej miejsca. Umarł przy pracy nad tą allegorią, która ma wiele wspólnego charakteru z wiosną tegoroczną; jest niezupełną, nieskończoną, zamała eteryczną; powiewną i poetyczną, mogłaby w części uchodzić za lato, a w części za jesień, gdyż kwiaty egzotyczne na drzewach zdaleka podobne są do o-

Jako ostatnie dzieło, ostatni fragment ma ta „Wiosna“ więcej pamiątkowego niż artystycznego znaczenia. Do dzieł u źródła przyjeżdża strojny młodzian na koniu, który ma maść osła, kształty wielbłąda, a cały wygląd apokaliptycznej bestyi; dziewica traktuje swego gościa wodą kryniczną w kryształowej czarze, którą on odsuwa z gestem, jakgdyby mówił:

— Nie piję.

Dokoła amorki igrają, całują się, płasają w uroczej i naiwnej nagości na tle zieleni bujnej i nieba szafirowego, jak farbka do bielizny.

Najważniejsza zaleta Makarta: koloryt, stanowi w tym obrazie jedyną stroną dodatnią, ale tylko przez swą żywość, nie przez poprawność.

Owiele lepiej przedstawiają się „Zmysły“, wcielone w pięć kob. et, doskonale odżywionych, lekceważących wszelkie przesady i prawa przyzwoitości i pozujących z wdziękiem modelek z eleganckiego świata.

Wiadomo, iż twórca „Katarzyny Cornaro“ i „Wjazdu Karola V-go do Antwerpii“, lubował się głównie w nagich kształtach niewieścich; ciało żywe, jędrne, różowe, tętniące krwią, ale pozbawione duszy, stanowiło dla Makarta przedmiot ulubionych studyów. Wystarczała mu sama powłoka zewnętrzna kobiety, którą malował ze znanstwem sybaryty, z lubością sensualisty; o wyraz twarzy, o głowę swoich postaci kobiecych mało dbał, dlatego robił je podobnymi do owych biustów z mydła lub wosku na wystawach fryzerskich: są piękne, ale apatyczne, bezmyślne najczęściej, z klasycznym spokojem patrzące na świat, obojętne na wszystko, co się dokoła nich dzieje.

Tosamo znajdujemy w „Pięciu zmysłach“, w których kult ciała przebija jedynie; zmysły tu są, ale umysłu ani krzty.

Za to malowane to wszystko przepyszenie, po rubensowsku, niektórych torsów i biustów nie powstydziliby się i Tycyan.

Zajmującym pod względem pomysłu i wykonania, a zwłaszcza techniki malarskiej jest, oile pamiętam, drugi dopiero widziany w Warszawie obraz Gabriela Maxa pod tytułem: „Visceter“. Przed dziesięciu może laty podziwialiśmy tu jego „Głowę Chrystusa“ na chustce św. Weroniki; obecnie mamy tendencyjną allegorią: litość, która uczonemu chirurgowi przynosi psiatko przeznaczone do studyów anatomicznych, a nad którym dokonana ma być operacja w żywym ciele. W jednej ręce postać kobieca trzyma zwierzę, w drugiej wagę, na której gorejące serce przeważa mózg laurem uwieńczony i zdaje się mówić do siwobrodego mędrca:

— Patrz, uczucie zawsze rozum przeważa.

Mniejsza o allegorią, ale zobaczcie jak to wszystko malowane, z jakim smakiem, z jaką precyzją.

Max posiada znakomitą technikę, dziwaczy w pomysłach, ale jest bardzo skrupulatnym i dokładnym w wykonaniu. Choćby dla niego samego warto odwiedzić wystawę Towarzystwa Zachęty, bo nie często zdarza się widzieć u nas dzieła tak skończone pod względem malarskim.

„Salon“ nasz staje się interesującym przybytkiem sztuki, dzięki komitetowi, który w energii, pomysłowości i dbałości o dobry smak przewyższa dotychczasowe zarządy tej instytucyi, a robiłby jeszcze więcej, gdyby publiczność usiłowania jego lepiej popierała chciała.

Quis.

Zdrowe wychowanie i kształcenie umysłu.

Niezmiernie ważną kwestyę poruszył pisarz francuzki, Juliusz Rochard, w *Revue des deux Mondes* z 15 Maja: „L'education hygiénique et le surmenage intellectuel.“ Niedawno, bo na ostatniem

posiedzeniu Paryskiej Akademii Medycznej, dr Dujardin-Beaumetz zarzucał to wychowaniu kobiecemu, że przez przeładowywanie nauką umysłu młodych dziewcząt osłabia je, nietylko fizycznie, ale rozszerza zakres wiadomości kosztem inteligencji i nazwał tak prowadzone wychowanie: „éducation forcenée.“ Obecnie Juliusz Rochard, członek tejże akademii, oskarża naszą epokę o wadliwy, a nawet więcej—o ciężko szkolny systemat edukacji, który wyszedł nie z namysłu pedagogów, ale „ustalił się przez bezwiedną siłę rzeczy.“ Postęp nauk rośnie. Praca wieków z bogactw zapasy wiedzy ludzkiej, wytwarzają się coraz nowe nauki i nowe ich gałęzie, mnożą się odkrycia i wynalazki, łatwość komunikacji rozpowszechnia je w sposób, nieznanym przeszłości; gdy z drugiej strony nowożytny układ życia, nowe ustosunkowanie się warstw społecznych, wprowadza w nauczanie względy na przyszłe zawodowe zajęcia uczącej się młodzieży. Wszystko to kazało wsiąkać w nauczanie coraz-to nowemu materiałowi naukowemu, rozszerzyła się nauka języków i razem wytworzył się plan nauczania, o którym Rochard pisze:

— „Każdy krok na drodze cywilizacji, każda zdobycz w zakresie intelektualnym stawała się nowym przeciążeniem (nouvelle surcharge) programatów nauczania. Obecnie doszliśmy do granicy ostatniej; ładunek stał się za ciężkim i jest to rzeczą najwyższej konieczności (de toute nécessité), aby część jakąś rzucić w morze, jeżeli nie chcemy, aby cały okręt zatonął.“

Nadmierne kształcenie umysłu spowodowało zaniedbanie wychowania fizycznego, siła członków zmniejszyła się i wraz z nią zmniejszyła się w młodzieży złączona z nią dzielność męzka. Niedawno jeszcze—pisze Rochard—jedno, dwa pokolenia w tył, chłopcy oddawali się z uniesieniem ćwiczeniom ciała, byli dumni z siły swych mięśni, ze zręczności, chyżości — z mękości swojej i w następstwie tego stawało się dla nich chwałą gardzić boleścią, znosić dzielnie braki, wyzywać niebezpieczeństwa. Dziś nie kryją zamilowania w dobrobycie i obawy przed cierpieniem niedostatku, a czyż nastrój taki, pomijając nawet względy na fizyczność, nie grozi niebezpieczeństwem wielkiem? Czy moralność nie cierpi nad tem? Cnoty szlachetnej abnegacji muszą się zatracać, a użycie i środek zapewnienia go sobie: zamożność materyjalna, wysuwa się przed oczy młodzieży na plan pierwszy.

Ludzie oduczają się nawet chodzić; zatracają się w młodzieży chęć wycieczek dalszych, które zastępuje wygodna podróż drogą żelazną, ale ginie przy tej wygodzie wyrabianie się i zaprawianie do trudu, poezya złączona z miłością natury, ginie odporność fizyczna na okoliczności zewnętrzne: zimna i upał, chłodu i głodu, co łączyć się musi koniecznie z odpornością moralną i panowaniem człowieka nad łaskami i nielaskami losu. Instynkt zachowawczy słabego każe mu poszukiwać warunków dobrobytu, bez których istnienie jego zagrożonem-by się czuło.

Śpiesząc się do głównego swego założenia autor zaledwie dotyka wielkich korzyści moralnych z mocnym i zdrowym ciałem złączonych, i ogólnikowo się wyrażając, wspomina tylko o męskiej edukacji fizycznej, ale zupełnie tosamo powtórzyć można o wychowaniu dziewcząt. Tu nietylko potrzeba gier atletycznych, bo natura domowych zajęć gospodarstwa kobiecego, zwłaszcza u dziewcząt wychowujących się na wsi, już je w znacznej części zastąpić może, byle tylko wychowanie nie było pieszczotliwym i wielkopańskim w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, bo dawne pamiętniki pokazują nam, jak gospodarnie była zajęta kobieta nasza, senatorskich nawet rodów. Niech też dziewczynka od małego rusza się i w posługach rodzinnych krząta, niech sama się ubiera i sprząta swój pokój, niech jej matka każe się często wyręczać w zawiadywaniu gospodarskiem, i nie lęka się dla niej zbyt wiatru, słońca, przyłożenia pracowitej ręki do różnych czynności wytwarzania zapasów spiżarnianych,—niech ją uczy, aby była pożyteczną wśród domowego ruchu pracownica: a rozwinięta w niej siły potrzebne. Zdrowa, świeżością kwitnąca, nie wejdzie potem

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Westchnął, głową smutnie pokiwał i ściągnął wypłowiałe sznury ciepłego szlafroka o niebieskich wylogach z atlasu, który wypłamił się i wystrzępił oddawna; obiekana podszewka wyglądała zpod spodu, a zpod niej wysuwała się już stara i wybrudzona wata. Ciepłe filcowe buty zastępowały pantofle panu Sylweryuszowi; na głowie miał czapeczkę paciorkowej roboty. Podpierając się hiszpańską trzcina, o gałce ze słoniowej kości, chodził powoli po pokoju, utykając na lewą nogę i rozmawiał, jak codziennie po śniadaniu, z synem o nowinach i zdarzeniach dnia poprzedniego.

Jakkolwiek odsunął się od świata i miesiącami całami nie wychodził z domu, poprzestając na spacerze po swoim pokoju lub po małym ogródku, przytykającym do mieszkania, bardzo jednak żywo troszczył się wszystkimi drobiazgami, chwytając chciwie odgłosy towarzyskiego ruchu, w którym oddawna nie brał już żadnego udziału.

Syn musiał mu codziennie przynosić z miasta nowinki i opowiadać o najdrobniejszych wypadkach, a mimo to zawsze nie wystarczały one ciekawości starca; ciągle domagał się o więcej, aby zakończyć każdą rozmowę z Romualdem narzekaniem:

— Ach, mój Boże!... od ciebie nigdy niczego dowiedzieć się nie można.

Zapominał, że oprócz syna i kuryerów, żadnych innych nie miał łączników ze światem i że tym dwóm źródłom jedynie zawdzięczał wszystkie swoje wiadomości, odkąd rozpoczął żywot pustelnicy z chwilą ruiny majątkowej.

Niegdyś właściciel rozległych dóbr, „pan całą gębą“, jak o nim powiadano w okolicy, magnat na kilku kluczach osiadły, dzisiaj tulił się w dwóch izdebkach przy synu, który z powodzi zalewającej gwałtownie olbrzymi majątek rodzinny uratować zdołał tymczasowo jedną jedyną wioską po matce, poszczona w dzierzawę i stanowiącą dziś całe utrzymanie obu Laskich.

Kilka lat nieurodzajów, zaniedbana gospodarka, wydatki bez rachuby, duży proces familijny, który ostatecznie zerwał wszelkie stosunki pana Sylweryusza z rodziną, wreszcie ta nieszczęśliwa ślepa wiara poskiego szlachcica w najfatalniejszą dewizę: „jakoś to będzie“, podminowały ogromną fortunę i obaliły ją prawie nagle.

Inny charakter i inne usposobienie byłyby pod wrażeniem tego ciosu padły zgnębione: pan Sylweryusz z natury lekkomyślny i uważający się za „dziecko szczęścia“, jak dziecko też przyjął tę katastrofę, nie zdając sobie właściwej sprawy z jej znaczenia i ogromu.

Nie chciał uwierzyć, aby to wszystko, co się stało, było prawdą, niecofnioną, stratą nie do naprawienia, zdawało mu się, że go los tylko nastraszył i że pewnego pięknego poranku obudzi się, jakby po ciężkim śnie, znowu panem tych wszystkich włości, które mu zlicytować i zabrać miano lada dzień.

Nigdy dobrze nie znał stanu swego majątku, którym głównie zajmowała się właściwie żona, kobieta niepospolitej energii i przymiotów; na jej głowie spoczywały wszystkie interesa, cały ciężar administracji, całe gospodarstwo rozległych majątków. Pan Sylweryusz udawał tylko, że się tem zajmuje, ale całymi tygodniami nie widziano go w Uniatyczach, głównej rezydencji państwa Laskich; podczas gdy „najdroższa Salusia“ rządy sprawowała w domu, on reprezentował ten dom nazewnątrz, jeździł na kontrakty, na jarmarki, po sąsiedztwach, do Warszawy oile nie siedział zagranicą, rzadko kiedy z istotnej potrzeby.

Za życia pani Salomei wszystko też szło, jak na sznurku, rozwijało się, jak z płatka.

Pan Sylweryusz wpadał do domu, jak po ogień; zawsze mu się śpieszyło, zawsze mu pilno było jechać, miejsca nie zagrzał. Kasę obliczył, pugilares naładował, z plenipotentem odbył krótką konferencją przy sutem śniadaniu i ze słowami: „żeby mi tu wszystko było w porządku“ wyjeżdżał znowu w świat.

Stosunki z najdroższą Salusią wydawały się na oko bardzo serdecznymi; mąż z największym uszanowaniem obchodził się z żoną, jakgdyby czuł jej wyższość i przewagę nad sobą, ale widział to dobrze, że dozgonna jego towarzyska nie odznaczała się urodą, i pamiętał, iż kiedy ją zaślubił z woli rodziców, była od niego o rok starszą.

Życie tę różnicę wieku powiększyło z latami.

Pan Sylweryusz był zawsze młodym, zawsze do połowy kawalerem, zawsze z pretensją do świata, życia i używania, podczas gdy żona jego, oddana podwójnym obowiązkom, za niego i za siebie, przeciążona pracą i zajęciami nad miarę, nie dbała ani o wiek, ani o jego prawa. Przedwczesnie nawet wyrzekła się wszystkiego, co kobiecie młodej jeszcze mogło się należeć. W pierwszych latach po ślubie, zanim urodziło się im dziecko, próbowała dzielić z mężem przyjemności i zabawy życia towarzyskiego, ale od chwili, gdy Romuald przyszedł na świat, zamknęła się w swoim domu, ujęła ster gospodarstwa i poświęciła się całkowicie wychowaniu ukochanego jedynaka.

Dla męża miała jakąś siostrzaną pobłażliwość, pozwalała mu na wszystko, jakby czuła, że za zdrość byłaby w jej warunkach śmieszna; pamiętała, że jest starszą od niego, i że małżeństwo ich powstało więcej z konwenansu, aniżeli z miłości. Nigdy słowa wyrzutu, skargi, niezadowolenia nie posłyszał pan Sylweryusz z ust małżonki. Wracając z najdalszej wycieczki i po najdłuższej niebytności do domu, był pewnym, że go na wren-dzie pałacu, powita zawsze tensam łagodny, nprzejmy uśmiech jego Salusi i przyjazny uścisk ręki. Kiedy zostawali sam na sam, żona, jakby się poczuwała do obowiązku zdawania sprawy ze swych czynności mężowi, obznajamiała go z ważniejszymi wypadkami w interessach majątkowych i gospodarstwie, zostając pod jej wyłącznym zarządem, a kiedy spostrzegła, że te sprawy nużyć go zaczynają, zmieniała zręcznie przedmiot rozmowy, pytając:

— Gdzieżeś tak długo bywał?... coś widział?... co tam słycać w świecie?

I udawała, że ją na prawdę zajmują nowinki, dykteryjki i sąsiedzkie ploteczki, które jej mąż przywoził wraz z gościńcem, na dowód pamięci i przywiązania.

Bez gościńca nie obeszło się nigdy; pan Sylweryusz z każdej wycieczki, dalszej czy bliższej, nie powracał choćby bez kwiatka w butonierze, który z wielką galanterią składał żonie, mówiąc:

— Widzisz, nie zapomniałem o tobie.

Przekonany był, że spełnia najzupełniej swój obowiązek, przywożąc jej po kilku tygodniach wesołego życia w Paryżu, Wiedniu, lub Wenecyi rozmaite świecideła, gałganki i drobiażdżki pamiątkowe, które ona przyjmowała zawsze z wyrazem wdzięczności i uradowania, ale których nigdy nie wkładała na siebie, zapelniając niemi komody i szufladki swej garderoby.

Podobny stosunek, jak do żony, łączył długi czas pana Sylweryusza z synem; niby to kochał swojego jedynaka, ale umiał się bez niego obchodzić po całych dniach, nawet wtedy, gdy przebywał w domu czas dłuższy. Chłopak chował się pod okiem matki, a pod strażą bon i guwernerów; miał swój oddzielny apartament, swoją służbę osobną, swoje udzielne państwko, gdzie, jak król wicz jaki, przygotowywał się do objęcia w przyszłości rządów olbrzymiego majątku i spuścizny po rodzicach, którą swą pracą i troskliwością przynależała bezustannie pani Salomea.

Z ojcem dzieciak widywał się rzadko; pan Sylweryusz poświęcał mu chwil kilka przed śniadaniem i po obiedzie. Przyprawiano go regularnie, aby powiedział papie: „dzień dobry“ lub podziękował za nową zabawkę, przywiezioną zza-granicą.

w życie, jak istota do owych fantazyjnych rajskich ptaków podobna, które nie mają nóg, aby stanąć na ziemi — trudom żony, matki i dobrej gospodyni domu podola.

Co się w stosunkach życia realnych z takim uzdolnieniem łączy — wiemy wszyscy; lecz nie ma to się ograniczać w pojęciu naszym do samych względów ekonomicznych tylko. Kobieta żona i matka, w całym znaczeniu tych wyrazów, nie będzie z pewnością tą płochą, która poza rodzinną wrażeń i wzruszeń poszukuje; nie będzie nadmierną elegantką, bo jej w nudach niezajętego istnienia złe myśli i niezdrowe pokuszenia do głowy przychodzić nie będą. Stare przysłowie łacińskie o zdrowej duszy w zdrowym ciele sprawdza się w praktyce życia. Silna i wytrzymała do lepszych i gorszych okoliczności przystosować się potrafi; nienerwowa, wybrednie kapryśna nie będzie. Matka, która chce dziecku swemu szczęście zapewnić, która chce aby w życiu łatwiej dobrem być mogła, ciężary obowiązków uczciwie dźwigając — niech go pieczołowicie i z przesadzoną pieczołowitością nie chowa.

Niezawsze to jest jeszcze dowodem wielkiej miłości, która się tak o skarby swego serca rozpada. Bywają i matki egoistyczne, w pozór zbytnej macierzyńskiej czułości przed ludźmi i własnym swem sumieniem zamaskowane, które z obawy kłopotów, z obawy możliwego wydatku trudów i zachodów, pozbawiają dzieci tego żywego ruchu, wzmagającego rozwój sił, i hartującego do życia w warunkach szczęśliwego i pożytecznego istnienia. Prawdziwa miłość jest cierpliwa, prawdziwa miłość jest przewidująca i ofiary chętnie ponosi a trudów swoich nie liczy, ani ich waży. Inaczej też nie ma wychowania w jego wysokim znaczeniu zasługi moralnej i społecznej, ale konieczne znoszenie ciężarów przez naturę nałożonych. Wszystkie naturalne obowiązki w ten tylko sposób podnoszą się do wyższej godności duchowego namaszczenia i praw do szacunku ludzkiego nabywają.

Nauka pierwsza, wedle dzisiejszych programatów dziecku dawana, sprzecza się też z dobrem wychowaniem fizycznym, sprzecza się z higieną dzieciństwa, i Rochard, idąc za wskazówkami profesora higieny, Fonsagrives, tak przeciw wychowaniu nowoczesnemu występuje: „Dziecko uczy się zawsze. Dziecko uczy się zanadto, uczy się źle, uczy się w niedobrych, higienie dzieciństwa nieodpowiadających warunkach.“

Dziecko małe potrzebuje przede wszystkim świeżego powietrza i ruchu, nie powinno też być wcale takich, jak obecnie, szkół dla dzieci małych. Każą im siedzieć godzinę całe i pracować umysłem; nakazują im zatem nieruchomość, milczenie i uwagę — trzy rzeczy, których dzieci przez instynktowny nakaz natury znieść nie mogą, do których przez nakaz natury usposobione nie są. Dziecko przez to samo już, że patrzy i słucha, uczy się — uczy się bardzo wiele i z wrażeń, otrzymanych w ten sposób, czyni sobie zapas wiadomości. Potem przetrawi je umysłem, teraz jedynie dowiaduje się, ale dowiaduje się ciągle, bezustannie. Tylko dziecko słabe zdolne jest usiedzieć cicho i spokojnie, nie ruszać się, nie mówić. Ruch jest mu potrzebnym do wyrabiania sobie członków, mówienie do wyrabiania płuc i zarazem oddaje w ten sposób wrażenia otrzymane, których w sobie zachowywać jeszcze nie umie, to też instynkt zmusza dziecko do łamania nałożonych na nie przepisów. Posadzone na miejscu, gdzie ma się zachowywać cicho, kręci się, szepcze do ucha towarzyszowi, podobnie zasekwestrowanemu przez rygor wychowawczy, zajmuje je każda przelatująca mucha i to — pisze Rochard za wyżej cytowanym autorem, ocala je od tego, aby nie zgłupiało, nie sforsowało sobie kości pacierzowej.

(Dokończenie nastąpi).

Czasem na dowód szczególniejszej łaski i dobrego humoru wolno mu było siadać u ojca na kolanach, jak na koniu, albo przeglądać z papą ogromne albumy widoków tych miejscowości, które ojca zwiedzał w naturze. Przyzwyczaił się też ojca uważać za jakiegoś przyjaciela domu, miłego gościa, dobrego pana, który w przystępnej fantazji i szczególniejszej łaskawości karmił go cukierkami, przywoził ładne zabawki i płatał z nim figle ucieszne.

W umyśle i sercu dziecka jedyne miejsce i prawa do uczuć jego zdobywała matka; jeśli można powiedzieć, ją nauczył się kochać praktycznie ojca teoretycznie tylko, i to z nauk i zaleceń matki, która w jedynaku swym przy każdej sposobności rozwijała miłość, przywiązanie i szacunek synowski.

Stosunek z ojcem zmienił się trochę na lepsze, gdy chłopak podrastał i mógł towarzyszyć panu Sylweryuszowi w bliższych wycieczkach w sąsiedztwo; woził go z sobą, jakby na pokaz.

Ojcowskiej ambicji pochlebiał śliczny i rozumny wyrostek, którym się wszyscy zachwycali.

Pan Sylweryusz sam bardzo często dziwił się, z kąd jego syn nabierał wiadomości, instynktów, poglądów, nad wiek dojrzałych. Na wszystkie zapytania ojca:

— Z kąd to wiesz?... Kto ci to mówi?... Kto cię tego nauczył? — brzmiała zawsze jedna i ta sama, krótka, ale wymowna odpowiedź:

— Mama.

W tym jednym wyrazie urastał pomnik zasługi dla pani Salomei.

Nie było też nad nią większej wyroczni, przyjaciółki, nauczycielki i powagi dla Romualda.

W dniu, kiedy dwa telegramy leciały, jak piorun do Lipska i Nicei jednocześnie, by syna w uniwersytecie a męża... na wypoczynku, wezwać do łóża chorej pani Salomei, okazała się też cała różnica uczuć w ojcu i synu. Romuald, jak stał, wsiadł na kolej, porzuciwszy wszystko przed samymi examinami i pośpieszył do matki rozgorączkowany, nieprzytomny prawie, tłumiący gwałtowne łkania, które mu pierś szarpały pod wpływem złowrogich przeczuć. Pan Sylweryusz kazał sobie trzy razy dziennie przysyłać telegraficzne buletyny o stanie chorej żony, ale wcześniej, niż przed tygodniem „nie mógł się wyrwać“ do domu, a kiedy nareszcie stanął już w Uniatyczach z ogromnym bukietem fiołków dla najdroższej Salusi, Salusia ani jego, ani kwiatów ulubionych poznać więcej nie mogła. Doktor zaś nie miał obawy, iż chora lada chwila skończyć może — i nie omylił się...

Śmierć pani Salomei zgnębiła pana Lackiego więcej, niż późniejsza utrata majątku; tuląc do piersi szlochającego syna, stał nad trumną kobiety, która dlań cały żywot poświęciła, której zawdzięczał materialną i moralną swobodę swoją, i czuł — nie wielkość osobistej straty w nieboszczce, ale ogrom ciężarów, jakie teraz z jej bark spadły na jego własną głowę. Wpatrywał się w pośółkę, martwą, bólem przedśmiertnym zmienioną twarz, którą śmierć naznaczyła jakąś surową powagą, nie widywaną na niej nigdy za życia, przynajmniej dla oczu męża, i wśród wirujących myśli przychodziła mu raz po raz jedna tylko refleksja:

— Jak ona się postarzała po śmierci!...

Ból i rozpacz syna upokarzały pana Sylweryusza, który czuł, że powinien się zdobyć chociaż na jedną łzę, i byłby ją najchętniej okupił całą garścią brylantów na cudownym obrazie w parafialnym swoim kościele, ale łza jak zaklęta nie splotowała na rzęsy, bo jej w sercu na dnie nie było...

Dla przyzwoitości obcierał czarnym fularzem w białe centki suche swe oczy i wzdychał głęboko, a kiedy się odzywał, to głosem przyciszonym, rozstrojonym sztucznie i nabrzmiałym fałszywą melancholią.

Tak wspaniałego pogrzebu nie widziano w okolicy; ciało nieboszczki przewieziono z Uniatycz o sześć mil do drugiego majątku, aby je złożyć z wielką pompą w familijnym grobowcu Lackich na cmentarzu w Laszkowicach, tychsamych, któ-

re po majątkowej ruinie zostały jedyną niezaprzeczną jeszcze spuścizną i własnością Romualda.

Jakgdyby zawistne losy czekały tylko na śmierć opiekunczego anioła rodziny i mienia, nieszczęścia i niepowodzenia poprzedzające ostateczną katastrofę, sypać się zaczęły na głowę pana Sylweryusza gradem pocisków. W przeciągu lat kilku runęło wszystko w gruzy, ogłuszając go, jak nagła a gwałtowna nawałnica.

Z początku stracił przytomność, a kiedy się opamiętał, było już po wszystkim. Wtedy uczuł najpierw wstyd i jakieś przynębiające upokorzenie, widząc się bankrutem, rozbitkiem majątkowym, pozbawionym dawnej świetności dobrobytu. Niespodziewane ubóstwo upokarzało go tak we własnych oczach, że się wstydził światu pokazać bez owych blasków fortuny, które przygasły nagle dokoła niego. Zamknął się w ciasnych izdebkach obok syna i zerwał wszystkie stosunki nawet z najbliższymi przyjaciółmi. Jedyną myśl zajmowała go uparcie, przejęła go nawskroś całego, myśl powrócenia w jakikolwiek bądź sposób na dawne stanowisko, utracone z winy losów, jak twierdził, nie z winy własnej. Miał nadzieję fatalisty i im mniej pozostawało widoków na przyszłość, tem bardziej się do niej przywiązywał; ona ułatwiała mu znoszenie ciężarów i niedogodności nowego stanu, który uważał za przejściowy.

— Musi się to wszystko odmienić jeszcze, zobaczysz! — mówił do syna, znoszącego z mężkim stoicyzmem skutki majątkowej ruiny. Matka uczyła go zachowywać we wszystkich wstrząśnieniach losu równowagę, nie poddawać się złemu i walczyć z przeciwnościami. Utrata majątku więcej go dotknęła, niż sam przypuszczał; żałował fortuny rozproszonej, jako owoców pracy i tyloletnich zabiegów swej matki. Nie lekcewazył pieniędzy, bo znał ich wartość i wiedział, ile z niemi dobrego i pożytecznego można zrobić w świecie. Żałował marzeń, planów, idei, których wątek wysnuwał się od dzieciństwa w jego głowie pod wpływem myśli, zasad i uczuć zaszczypanych przez panią Salomeę, a którym los odjął naraz całą podstawę i środki urzeczywistnienia.

Pan Sylweryusz nie dawał za wygraną; wieczorami siadywał przy biurku, rozwijał pliki zachowanych papierów, rachunków, aktów i obliczał mozolnie, z istną wytrwałością maniaka, jakie *minimum* funduszów mogłoby z resztek zakwestyonowanego majątku odbudować całość. Zapewniał syna, że wynalazł niezawodne do tego kombinacje i wierzył sam w swoje pomysły i praktyczność, zrodzoną na gruzach wielkiego mienia po rozbiciu; dzisiaj, kiedy jak najfatalniej złożył dowody swego niedołęztwa i zupełnego braku umiejętności, energii, siły i sprytu gospodarowania i zarządu własnym mieniem wówczas, kiedy miał je jeszcze w rękach, zdawał mu się zaczęło, że doświadczenia bolesne i zawody rozbudziły w nim ukryty geniusz, że potrafiłby sam jeden, jak Samson odbudować gmach, który się nad jego głową walił.

Śmieszne było to majaczenie starca, rozmiętniającego się do własnych widzeń.

— Powiadają ci, że 250,000, a nawet 200,000 wystarczyłoby zupełnie — mówił do Romualda — abyśmy się wygrzebali i odzyskali wszystko. Trzebaby tylko mieć tę sumę w gotówce. Zobaczyłbyś!... najpierw odkupiłbym Uniatycze i Pałaki, które ten osioł Niemiec oddałby teraz za psie pieniądze. Laszkowice z małą dopłatą można by wymienić na Oboje, a może i bez dopłaty, kto to wie... gdyby się zrzęcznie zabrać do tego. Mielibyśmy znów komplet zaokrąglony na początek, a potem jużby szło dalej...

Mówiąc to, zwykle siedział przy stoliku pod oknem i wycinał obrączki z pism illustrowanych, lub lepił fantastyczne domki, pogody, pałace z kolorowanych arkuszy, co stanowiło jego najulubieńsze zajęcie w tym czasie. Ze skrawków złotego i srebrnego papieru wyplatał i układał misterne koszyki, ramki i patarafki, a żaden introligator swojego zawodu nie traktował z takim poświęceniem i z taką dokładnością, jak p. Sylweryusz to dyletanckie „zabijanie czasu.”

Zdawało mu się, że z tego papieru odbuduje rozwalone gmachy swej fortuny wielkopańskiej.

Romuald słuchał cierpliwie i z pobłażliwością wynurzań ojca, przez uszanowanie nie śmiał mu się sprzeciwiać; patrząc na niego, miał litość nad biednym maniakem i pamiętał zawsze uwagi i prośby matki, konającej na jego rękach, ze słowami:

— Kochaj ojca i bądź mu dobrym synem... po mnie ty tylko musisz zająć moje miejsce, bo inaczej...

Nie kończyła swych słów, jakgdyby jej dusza ulatująca z więzów ciała miała już dar jasnowidzenia przyszłości; a może nie chciała całej swej myśli wyrazić przed Romualdem, by w niej nie abliżyć mężowi i nie dać synowi prawa do sądenia go krytycznie.

Pan Sylweryusz nie zupełnie fikcyjne roił plany w swoich codziennych rozmyśleniach; spoglądał na syna, jak na wcielenie własnych nadziei.

Gdy mówił do niego:

— Ty to wszystko naprawić potrafisz! — znać było po spojrzeniu, po wyrazie twarzy, po uśmiechu na ustach, że w głębi duszy chował jakąś niedopowiedzianą myśl, z którą nie chciał, czy nie śmiał otwarcie zwierzyć się Romualdowi.

Skwapliwie wypytywał go tylko o każdą nową znajomość, zachęcał do utrzymywania stosunków ze światem, wysyłał, niemal wypędzał w towarzystwa, na najpierwsze salony, do których nawzisko rodowe i pamięć domu Lackich drzwi mu narozścież otwierały. A po każdym wieczorze, po każdej nowej wizycie, z przenikliwością sędziego śledczego badał Romualda: czy nie dostrzeże w nim jakiej skłonności, jakiego rysu rodzącego się uczucia.

Na pamięć znał litanią wszystkich posażnych panien w mieście i o każdej długie konferencje odbywał z synem.

Nazwisko pani Odonieckiej, wspomniane przez Romualda, dało mu sposobność do nowych wariacji jednego i tegosamego motywu, który przewlekał się, jak nie skończona przez wszystkie jego myśli i plany.

— Wiesz ty — mówił do syna — jeśli to żona tego Odonieckiego, którego znam swojego czasu — to ona powinna mieć przynajmniej milion w majątku, chyba nieboszczyk przepuścił połowę, ale z posagu pierwszej żony musiało mu przybyć drugie tyle. W jakim ona wieku?

— Nie doszła chyba do trzydziestu.

— A przystojna?

— Jak dla mnie, bardzo.

Stary Lacki uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Powinieneś być u niej z wizytą — rzekł — wypada to zrobić. Nie zapraszała cię?

— Owszem, wspominała coś, że przyjmować będzie we środy.

— To pojutrze. Fiszbaumowie bardzo jej nadskakiwali?

— Bardzo, dopóki nie zasłonił jej sobą pan Allan Smith, słynny odgadywacz myśli.

— Czemużeś mi o nim jeszcze nie opowiedział? — zachnął się stary, w którym obudziła się zwykła ciekawość i pociąg do wszelkich nowinek.

Romuald przypomniał sobie wczorajszą scenę przy fortepianie i to oryginalne zawiązanie znajomości, do której jego własna myśl była przewodniczką. Po raz pierwszy zawałał się: czy opowiedzieć ojcu o tym wypadku szczegółowo — i w rezultacie pominął go milczeniem.

Kiedy następnego dnia służący przyniósł na tacy kartę wizytową pana Romualda Lackiego, pragnącego złożyć pani Zofii Odonieckiej swoje uszanowanie według wszelkich przepisów etykiety towarzyskiej, młoda wdowa zajęta była właśnie malowaniem bukietu fiołków i azalii na porcelanowej palecie.

— Zastajesz mnie pan przy pracy, która na szczęście ma na swoje wytłómaczenie filantropią, nie sztukę — rzekła uprzejma gospodyni, wprowadzając gościa od razu w tok rozmowy.

— Mam sposobność dowiedzieć się o drugim talencie pani — zauważył Romuald, rzuciwszy okiem na podmalowane kwiaty.

- A jakież ten pierwszy?
- Muzyka.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYSTAWA HYGIENICZNA

w Warszawie.

Prowadząc od lat czterech przeszło dział higieny popularnej w „Bluszczu“, postanowiłem odbyć wycieczkę z czytelnikami, po placu Ujazdowskim, aby przyjrzeć się zblizka, jak wygląda w rzeczywistości to, co tylokrotnie starałem się przedstawić słowami. Kiedy się czyta suche wywody, odbite drobnymi czarnymi czcionkami na białym papierze, popelnia się grzech higieniczny nazwany: brakiem ruchu i forsowaniem zmysłu wzroku; tymczasem tu na placu, doprawdy, zupełnie co innego. Powietrze dobre, kurzu skutkiem bezustannego deszczu, no, i wysypania ulic żwirem, ani trochy, słońce zakryte czarnymi chmurami nie przepala parasolki i słomianego kapelusza, ponieważ właśnie kilka kropli pierwszych nowej edycji deszczu poczyna rościć mokrą trawę i wilgotny piasek, w celu uchronienia się od zmoknięcia zajdźmy do pawilonu głównego, gdzie przeważne pomieszczenie znalazł *dział szpitalny*.

Szpital... br... ja sam pamiętam, jak na wspomnienie tego wyrazu dostawałem niegdyś ciarek w krzyżu, a gdy poraz pierwszy przekroczył próg sali szpitalnej, zdawało mi się, że wyniosę z tamąd wszystkie zapalenia płuc, wszystkie suchoty, wszystkie tyfusy i inne dolegliwości, jakie natura wymyśliła dla urozmaicenia życia. A jednak szpital jest jednym z najdonioślejszych dzieł, jakie stworzyła Ludzkość, łącząc dobroczynność publiczną z higieną. Szpital daje choremu biednemu przytułek w postaci łóżka wygodnie i czysto posłanego, zdrowego i odpowiedniego pożywienia, możliwie świeżego powietrza, a nadto otacza go pieczołowitością i pomocą lekarską za darmo lub za tak niską opłatą, że w domu nigdy jej mieć nie można w podobnych warunkach. Oto zadanie szpitali; jeżeli spełnia się je właściwie, to bezwarunkowo jest ono jednym z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych na świecie. Szpital dla zdrowia ma podwójne znaczenie: najpierw zapewnia przytułek i pomoc lekarską jednostce, a powtórnie ogranicza rozprzestrzenianie się chorób zaraźliwych między ogółem. Z tych względów winien odpowiadać wszystkim warunkom mogącym powrócić zdrowie choremu i być od zdrowych jak najbardziej odosobnionym. Nie na tem jednakże koniec. Ponieważ w szpitalu pomieszcza się ludzie cierpiący na rozmaitego rodzaju choroby zaraźliwe (dziś skutkiem bakteriologii wykazano, że większość chorób jest udzielającą się), mogące taksamo, jak z chorego na zdrowego, przenosić się z chorego na chorego: powinien szpital więc tak być zbudowanym i urządzone, aby możliwie złemu temu zapobiedz. Wreszcie, ponieważ nauka rozklasyfikowała choroby i chorych na rozmaite grupy, wymagające odpowiednich urządzeń w szpitalu, skutkiem tego mamy dziś specjalne szpitale dla chorych wewnętrznych, chirurgicznych, rodzących, dzieci, skórnych i wreszcie dla chorych na umysł. Widzimy z powyższego: ilu to warunkom wypada zadasyć uczynić; a ile zachodu i trudu wymaga oglądanie chorych, tego chyba naszym matkom żonom i siostram opowiadać nie potrzeba. Ktoraż z was, czytelniczki, choć raz w życiu nie pełniła funkcji *garde-malade*?

Właściwie higiena zajmuje się sposobami uniknięcia choroby; stosuje się zatem do ludzi zdrowych, tak, iż zdawałoby się, że szpitale nie należą do programu tej nauki i nie powinny być znalezione na wystawie higienicznej. Tymczasem tak nie jest. Higiena bowiem naucza, w jaki sposób szpital ma być zbudowanym i urządzone, aby odpowiadał wyżej wymienionym warunkom i aby temsamem w jaknajkrótszym cza-

nie wrócił choremu zdrowie, aby choroba zaraźliwa nie udzielała się znajdującym na kuracji chorym i nie przekraczała murów szpitalnych. Przedewszystkiem tedy zadaniem jej jest to, aby sale miały jaknajwięcej świeżego powietrza, t. j. higiena uczy, jak w nich winna być zaprowadzona wentylacja, powtórnie: jaka ma być temperatura i w jaki sposób najwłaściwiej ogrzewać sale, a także, jak przyrządzać dla chorych pożywienie i co mianowicie może być dla nich pożytecznem, a co szkodliwym. Dalej, budowa szpitala winna być taką, aby na najmniejszej przestrzeni oddziały były, oile możności, odosobnionemi jeden od drugiego, czemu najlepiej odpowiada budowa pawilonowa (szpital św. Ducha przy ul. Elektoalnej) i wreszcie winien być jak najdalej położonym od siedzib zamieszkałych przez zdrowych a każdy przedmiot wychodzący poza jego obręb poddawanym jaknajdokładniejszej dezynfekcyi.

Higiena szpitalna czuwa nad tem, aby choremu skutkiem niewłaściwego posłania, odzienia, nieodpowiednich potraw, naczyn, zanieczyszczonych narzędzi chirurgicznych, materiałów opatrunkowych i t. p., nie wyrządzono szkody—jednym słowem: wszystko cokolwiek dotyczy chorego winno być kierowanem prawami higieny.

Zobaczmy teraz, co dział szpitalny przed względem higienicznym przedstawił na naszej wystawie; oile sprostał temu trudnemu zadaniu, powiadamy trudnemu, bo chcąc dać ogółowi dokładne pojęcie, jak powinien być szpital zbudowany i urządzone, trzeba byłoby tak postąpić, jak to zrobiono w sekcji wychowawczej t. j. wystawić budynek szpitalny, albo przynajmniej jego model ze wszystkimi możliwymi urządzeniami, a więc z wentylatorami, kaloryferami, kamerami dezynfekcyjnymi, kuchniami, kanalizacyami. Dalej wypadało pokazać urządzenia sal oddzielnych dla różnego rodzaju chorych, infirmary, sale operacyjne, kuchnie i t. p., co pociągnęłoby za sobą bardzo wiele pracy i kolosalne koszta. Komitet wystawowy zabrał się do urządzenia tego działu skromnie i trzeba przyznać doweepnie, i oto, co w nim widzimy.

Warszawski Zarząd Okręgowy Towarzystwa Czerwonego Krzyża pomieścił model i plany baraku Cesarza Alexandra II, jak również model urządzeń wentylacyjnych, dalej ładnie i wygodnie posłane łóżko szpitalne, stół do czytania i pisania dla obłożnie chorych i inne niezbędne utensylia, oraz materiały opatrunkowe.

Szpital św. Ducha wystawił łóżko z posłaniem, odzienie potrzebne dla chorych w szpitalu, a pomiędzy rozlicznych przedmiotów znajdujących się w tym oddziale wyróżnić należy wannę blaszaną, do rzymskich kąpeli doskonale urządzone. Różni się ona od zwykłych wanien przedewszystkiem, że jest większą, a potem, że ma przy sobie szczególnie zamykające się wieko, w którem znajdują się dwa otwory, jeden wielkości głowy ludzkiej opatrzonej w rodzaj kołnierza ściągającego się tasemkami, a drugi, na przeciwległym brzegu, mniejszy, opatrzonej pokrywką, do której przytworzoną jest na drutach lampka spirytusowa. Gdy chory wszedł do wanny, przykrywa się ją wiekiem z jednej strony umocowanym na zawiasach, a głowa pozostaje nazewnątrz dla swobodnego oddychania, około szyi zawiązuje się ścielnie ów kołnierzyk tasemkami, a następnie zapala się lampkę. Powietrze skutkiem ogrzewania rozrzedza się, a ciśnienie na skórę się zmniejsza i następuje obfita transpiracja, która w wielu cierpieniach, przeważnie zaś w nerkowych i reumatycznych, oddaje cierpiącym wielkie usługi. Znajdujemy tu również plany szpitala, które wykazują, że jest on zbudowany w sposób pawilonowy t. j. do długiego kurrytarza prostopadle wzmurowane są oddzielne pawilony mieszczące na parterze i piętrach sale szpitalne. W tak zbudowanym szpitalu można doskonale segregować chorych według ich cierpienia na wewnętrznych, zewnętrznych, ocznych i t. p. Szpital św. Ducha ogrzewany jest kaloryferami, które mają tę wyższość nad piecami, że za ich pomocą łatwiej utrzymać jednolitą temperaturę; prócz tego nie prowadzą one tyle nieprzyjemnego czadu, swędu i hałasu nieodłącznych od ogrzewania zwyczaj-

nemi piecami.—Widzimy tu również tablicę suchot płucnych, przedstawiającą ogólną liczbę suchot do wszystkich chorych leczonych w tym szpitalu, oraz podział chorych podług wieku, śmiertelność podczas miesięcy i stosunek śmiertelności suchot do ogólnej ilości zmarłych.

Zarząd Warszawskiego szpitala dla dzieci na Alexandry, chcąc jak najlepiej uplastyczyć zwiedzającym wystawę swój szpital, przedstawił bardzo ładny model pierwszego piętra w $\frac{1}{25}$ naturalnej wielkości, wykonany misternie przez p.p. Zandrowicza i Konarzewskiego. Spojrzawszy z góry, (model bowiem pozbawiony jest dachu), można nabrać dokładnego pojęcia, jak pomieszczenia się na Alexandry owi mali pacjenci, którzy w domu, zpowodu ubóstwa rodziców, nie mogą być leczonymi. Jest to jeden z najpiękniejszych i najciekawszych okazów w dziale szpitalnym. Nadto przedstawiono jeszcze plany sytuacyjne całego szpitala, dalej łóżeczka, zarówno z oddziału chorób zewnętrznych, jak i wewnętrznych, ubranie na manekinach, przyrządy ortopedyczne, narzędzia chirurgiczne, opatrunki gipsowe, tablice ruchu chorych z ostatnich lat dziesięciu, wózek i lektykę do przewożenia i przenoszenia chorych dzieci i t. p. Trzeba przyznać, że zarząd szpitalika ze swym nieustrudzonym lekarzem naczelnym, D-rem Sikorskim, zadał sobie dużo trudu i, że oddział ten w dziale szpitalnym jest najbogatszym i najciekawszym. Z próbki wystawowej można wnosić, że rodzice, pomieściwszy swe dziecko w tym szpitalu, mogą być spokojni o jego tam dobrobyt higieniczny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LVII.

Małżeństwo Apfel, komedia w 4-eh aktach, oryginalnie napisana przez *Kazimierza Zaleskiego*; przedstawiona poraz pierwszy w Teatrze Lenin, d 9 Czerwca.—Gościnne występy artystów dramatycznych pp. *Romana Zelasowskiego* ze Lwowa i *Edmunda Ryiera* z Krakowa.—**Francillon**, komedia w 3-eh aktach *Alex. Dumasa*, przekład *Edwarda Lubowskiego*.

(Dokończenie).

Co drży w tym okrzyku Zofii: cześć czy miłość? Cześć, uczucie anorganiczne, przeznaczone jednak do tego, aby z wolna przejść w uczucie doskonalsze, właściwsze dla małżeństwa—w miłość. Dusza licha do takiego okrzyku nie byłaby zdolną: Zofia dowiodła nim swej lepszej natury. Rozum nie pytał o następstwa — serce samo krzyknęło. Ta jedna chwila zastąpi długie dyalogi i naprężone intrygi, bo wstrząsa słuchaczem i w zasobni jego wrażeń na długo pozostaje. Ale *noblesse oblige*. Kto swego duchowego szlachectwa dowiódł w sposób tak przekonujący, tak świetny—ten powinien być i przedtem o herbie swoim pamiętać. Wolno było Zofii kochać kuzynka: takie miłości, kielkujące jeszcze od dzieciństwa, najczęściej na kielkowaniu się kończą. Znałem mnóstwo przykładów, w których „każde poszło w swoją stronę“—i dobrze nawet jeszcze, jeżeli w latach późniejszych dochowało sobie przyjaźni. Kochankowie najczęściej sami się śmieją z tego, że „byli takimi dzieciakami“. Bywają przecież i istotne, głębokie, namiętne porywy. Ale takim nie było uczucie Zofii; jej miłość nie byłaby się może nawet objawiła, gdyby nie to, że Matylda podsypała prochu zazdrości i sprowadziła wybuch. Rolewskiego, nawet o spokojne, jako mężka miłość zindywidualizowane, uczucie, aż do końca trzeciego aktu, nikt nie posadzi. Płonął tam niegdyś ogień na ołtarzu zachwytów dla kobiety, wyrażających w sobie elementarną potrzebę kochania; ale, gdy poraz pierwszy spostrzegamy parę kuzynków, w sercu Rolewskiego płonie już tylko szacunek dla jutrznianego uczucia młodości, złączony z tkliwością, jaką mieć będzie zawsze podnioślejsza natura mężka dla tego, co niegdyś kochała. Rolewski nie tylko nie nadał

żywszego tempa sercom, ale sam dopiero wyznaniem Zofii nagle się ocknął. Zofia, nie kochając męża, a wyjednywając u niego stotysięcy rubli dla ojca Leona, — i tak już zanadto naciągnęła strunę obowiązkowej delikatności; wyznaniem miłosne zerwało ją już zupełnie. Runęły odrzuca prawa męża, spotęgowane prawami człowieka, któremu za dobrodziejstwo wdzięczność się należała. Zadziwia nas to, że po chwili uniesienia nie przychodzi nawet najłżejsza reakcja: a mąż, mąż nie kochany, więc zły, ale człowiek tak dobry? Ośmielona jego dobrocią, właśnie Zofia wspólnie z Leonem postanawia prosić go o dobrowolny rozwód. On tak dobry — nie odmówi! I jakże tu wymagać od starego Apfela, aby zaskoczywszy parę transponującą sobie niewinne wrażenia dzieciństwa na ton teraźniejszości — nie wybuchnął gniewem, a pianą i żółcią nie obryzgał tych dwojga i całego tego świata, do którego należą?

Od tej chwili przez cały akt IV dyalektyka rozwinięta w rozmowie ojca z synem i żyda z nieżydami, uderza bogactwem swoim, artyzmem logicznym, — nowością myśli i bardzo pięknym, żywym wysłowieniem. Po *Żydach* Korzeniowskiego mamy pierwszy utwór wybitny. Autor *Małżeństwa* stawia kwestyą samodzielnie, różniczkując ją w sposób oryginalny i pozwalając wygadać się staremu żydowi — chrześcijaninowi, sam sięga głęboko do przesądów i stosunków społecznych, rozdzielających obie warstwy wprowadzone do komedii. Tak wymownego manifestu przeciwko przesądom chrześcijańskim i egoizmowi chrześcijańskiemu nikt jeszcze nie założył. Jeżeli młody Apfel jest etycznie najwyższym żydem na scenie naszej, stary jest rozumowo najsilniejszym; a dodać potrzeba, że w całym tym dyalektycznym pochodzie myśli moralno-społeczny charakter osób mówiących nigdy się nie zaciera. Błogosławieni pokój czyniący! Obaj ci żydzi-nieżydzi w komedii pana Zalewskiego posiadają w sobie potęgę kształcąca dusze do pokoju i sprawiedliwości. Młody Apfel powinien być ideałem żydów, podniesionych już na poziom cywilizacji narodowej; stary — bodźcem dla rozumów i sumień tych ludzi, którym nieopatrny egoizm, lub patrzące tylko przed siebie krótkowidztwo każe rozniecać ustawiczną wojnę domową na obszarze pojęć rządzących społeczeństwem.

Szlachta w komedii p. Zalewskiego popelnia podwójny mezalians: przedstawicielkę swego stanu wydaje za Apfela, a swoją osobistą uczciwość za jego pieniądze. Oboje Czapotkiewiczowie są malowani rzetelnie; takimi bywają, takimi prawie zawsze być muszą, osobistości herbowe, ratujące się przez małżeństwa swych dzieci. Dla większej przeciwstawności autor pogłębił ujemności tych charakterów: mężowi nie dał nawet żdźbła siły, żonę wyposażył w pewną czupurność, podnoszącą się do imponowania drugiej połowie. On jest próżniakiem i żarłokiem, ona — nadętą gęsią, zresztą uczciwą, a nawet do pewnego stopnia przedsiębiorczą i praktyczną, i tym sposobem okupuje zupełną bierność swego męża. Mamy w charakterystyce tych dwóch postaci złożoną już *in nuce* historią upadku ich majątkowego i metody użytej do ratowania się z toni: żyda kopie się uogą, a jego pieniądze zgarnia się do kieszeni. W stosunkach prawno-cywilnych zachowanie się stron poza aktem jest rzeczą przyzwyczajoną i cywilizacyjną; w stosunkach moralno-społecznych wszelka nieszczerłość, wszelkie sfalszowanie istoty tych węzłów, które zacieśniłomni być mają, jest społecznym zarazkiem moralnego zepsucia, — szczepi je, nietylko w daną rodzinę, ale pośrednio i w społeczeństwo, które toczy, wolno wprawdzie, ale pewno, niezawodnie — niemilosiernie. Gdy złe wypłenić się nie da, trzeba je przynajmniej przycinać; nie mogąc się pozbyć, niechże społeczeństwo przeciwko takim objawom zakłada protestacje — choćby tylko głosem swej literatury, kiedy innych organów nie ma, a obyczaje ludzkości dzisiejszej, nawet tam, gdzie nie funkcyj prawidłowych nie tamuje, nie pozwalają jeszcze na porządkowanie publiczne takich stanów prywatnych. Zdaje się nam, że jeśli autor pisał swój utwór z myślą poważną; jeżeli nie chodziło mu o wprowadzenie postaci komicznych, mających

tylko rozwiać smutek i grozę, zalatującą od obu Apfelów; jeśli rzeczywiście obie postacie Czapotkiewiczów nie są robotą pióra, ale wytworem myśli — to nie możemy sobie inaczej pojąć ich architektonicznej racyi w całości komedii, tylko w sposób tu wyluszczonej.

W obrazie świata szlacheckiego wprowadzonego do komedii, odczuwamy brak tej równowagi, którą autor z taką rozsądną miarą świata żydowskiemu narzucił. Jak tam obok Apfelów stoi Grünburst, tak tu obok Czapotkiewiczów powinien być stanąć jakiś tęższy szlachcic od Rolewskiego. To wyparcie się oburzenia w liście przedślubnym, to złote serce przy stole i dzbanie, ta cała rodzajowość Rolewskiego, bez ziarna dodatniego charakteru, mogłaby sobie istnieć i przejawiać się obok Czapotkiewiczów — chociaż do pewnego stopnia wytwarzałaby tautologią — gdyby p. Zalewski wprowadził był nadto jeszcze takiego szlachcica na przykład, jakim jest Hrabia w akcie III *Naszych zięciów*; poprzestając zaś na swym Rolewskim, naruszył równowagę zasadniczego pojęcia, z którego wyjść musiała komedia — dał niejako broń krytyce do posadzeń o rozmyślną stronność i niesprawiedliwość. O stronności z przekonania lub mniemań społecznych wynikającej mowy być nie może; jest tylko jednostronność w obrębie czynników sztuki, jest błąd artystycznego rozumu. Na dodatniej, wyższej, silniejszej postaci szlacheckiej komedia wiele-by zyskała. Potrzeba takiego umysłu i charakteru wzbijającego się nad poziom lichoty, jest tam większą, że i ów Leon, postać dodatnia, nie może jeszcze uchodzić za człowieka; uważać go musimy dopiero za tworywo przyszłej, zwartej w sobie i zaokrąglonej nazewnątrzy, istoty. Taki, na jakiego patrzymy, jest dopiero młodzieniaszkiem. Nie chciał go autor mieć innym: nie czynię więc autorowi zarzutu; do inwentarza jego charakterów wciągamy tylko pozycyją, która mi się taką a nie inną przedstawia. Nie może być jeszcze charakterem człowiek, proszący trzeciego, aby mu z drogi ustąpił i pozwolił zabrać żonę, tak bez wojny, przez układ pojednawczy. Wprawdzie był ktoś kto podał mu jabłko; ale honor prawdziwie już dorosłego mężczyzny pokusie takiej nie ulegnie. Trzeba zostawić kobiecie samej węzową sztukę — wywikłania się z objęć niekochanego męża.

Na usprawiedliwienie swoje, co prawda, autor przytoczyć może rozwiązanie komedii. Zofia mająca rzucić się w objęcia mężowskie, napotkałaby wielką do tego przeszkodę w prawdziwie męskiej sile, w rzetelnym charakterze i nakazującej powadze mężczyzny, którego kochała; z półdzieciakiem jeszcze, z dawnym Leosiem, sprawa była o wiele łatwiejsza i dała się przeprowadzić bez zawiłszych a dłuższych procesów psychologicznych. Usprawiedliwienie takie istotnie na względ zasługujące, nie obala przecież zarzutu postawionego wyżej, iż tak dobrze Leon, jak stary Rolewski, nie wypełnia pustki na tem miejscu, na którym stać powinien dodatni charakter męzki wzięty ze sfery szlachecko-ziemiańskiej.

Pomimo błędów tu wytkniętych, komedia w całości swej wzięta, przez odczucie życia, dobór i siłę zjawiskową charakterów, przez układ przygód, rozwiązanie, myśl zasadniczą i nakoniec opracowanie, jest — powtarzamy to — wybitnym utworem najnowszego komedypisarstwa polskiego. Oile wogóle teatr kształci — a na tym punkcie czyniłem zawsze zastrzeżenia — *Małżeństwo Apfel* za sztukę kształcąca uważać potrzeba. Jako utwór ducha, jako promień posłany z ogniska talentu, jako owoc z drzewa doświadczenia, które w komedypisarzu prawdziwym, jak w każdym artyście, isć musi w parze z myślą twórczą — najnowszą komedia od poprzednich odbija wyższą powagą, szczerzym, głębszym oddechem, szlachetniejszym tonem, zarówno samego człowieka-wieczności w ruch wprawionego, jak i tezy etycznej, służącej mu za oś obrotową. W dyalogach, w całej dyalektyce myśli, ściągającej się w Apfelach z przeciwnościami, znać biegłość, która i w samej budowie logicznej i w wysłowieniu występuje jako rzeczywista, wyrobiona już siła. Język, zawsze u p. Zalewskiego poprawny i potoczny, pod panowaniem pięknych, rozum-

nych myśli i uczuciowych momentów — musiał nabrać niezwykłego wdzięku.

Sztukę grano — koncertowo. Sam Żółkowski, jako Czapotkiewicz, wystarczał już do zajęcia widzów artyzmem scenicznym, odtwarzającym życie w najdrobniejszych szczegółach. Grę jego tyle razy już „niezrównaną“ nazwano, że chcąc jej przymioty w jednym wyrazie zawrzeć — nie chciałbym powtarzać tego, o czem wszyscy, i kolledzy artyści i słuchacze są głęboko przeświadczeni. Ucieszyło mnie w Żółkowskim zdrowie, żywość, swoboda organiczna w korzystaniu z wielkich darów talentu; nie zadziwiła doskonałość gry, bo kto mówi: „Żółkowski“, mówi zarazem i „doskonały“. Po Nestorze naszej sceny należy się pierwszeństwo zasługi p. Tarkiewiczowi; umie on być nietylko wiarołomnym mężem, postarzałym lekkoduchem w komedii francuskiej, ale i prawym, gorącym charakterem w komedii rodzimej. Sceny z żoną i z mężem, tak odmienne w tonie psychologicznym, grane były z równą dokładnością, pojęciową i wykonawczą. Nie możemy tutaj wnikać w szczegóły. W akcie II, w scenie próby o pożyczkę, może-by wypadało zniżyć trochę skalę uczucia dla Zofii. Zbliżenie się jest zawielkiem na chłód stosunku. Panna Wiśnowska trzymała się na zwykłym swym poziomie. Wyżej od niej stanęła, w swej roli salonowej kokietki wyższego stylu, p. Lüdowa. Od roku już artystka ta zdobywa sobie uznanie coraz większe a odpowiadające ciąglemu postępowi w wyrabianiu się scenicznym. Rzeczywiście p. Lüdowa teraz dopiero zaczyna spożytkowywać zdolności swoje i zasoby nadające powołanie do sceny. Role jej dzisiejsze są już dziełami pracy myślącej, rozumnej, uszlachetnionej ambicyą jaknajlepszego tworzenia. Piękność twarzą, wspaniałość i wdzięk postaci, sympatyczność głosu — wszystko to już było; ale teraz dopiero zaczyna służyć sztuce, jak powinno. P. Ostrowski był współpracownikiem autora w oddaniu roli Grünbursta. Rola ta całe wcielenie się swoje w konkretną osobistość aktora p. Ostrowskiemu zawdzięcza. Czy ten Grünburst wzorował się na jakiej żywej osobistości? — mniej nas to obchodzi: podpatrzenie a później naśladowanie, jest także sztuką. Większe prawo do wzorków ma aktor, niż autor.

P. Ładnowski dobrze grał starego Apfela; jeżeli odezwało się czasem w słuchaczu pragnienie czegoś wyższego — nie winna temu ani inteligencja, ani wprawa, ale głos. Pani Niewiarowska najzupełniej zadawała swoją Czapotkiewiczową, a p. Prażmowski Leonem, który w akcie III miał chwile doskonałe z Matyldą i Zofią. Pan Grzywiński ukazał nam prawdziwą postać wieśniaka, zażywnego i niegrzeszącego wielką bystrością rozumu. Należy mu się uznanie szczególnie za to, że nie wpadł w krotocwilność, a dawniejszej swej ociężałości pozbyć się umiał.

Dwóch gości z Galicji mieliśmy sposobność oglądać na scenie warszawskiej w dwutygodniowym odstępie czasu. P. Roman Żelazowski, człowiek wielkiej skromności, długo się wazył, czy wystąpić na wielkiej scenie warszawskiej — i parę lat upłynęło nim ze Lwowa do nas zawiatał. Widzieliśmy go już w Warszawie, ale było to już z jakie sześć lat temu; w jednym z teatrzyków prowincjonalnych występował artysta lwowski w komedii Blizińskiego. Jest to jeszcze młoda, niezużyta, ze szczerą, uczciwą wolą i miłością zawodu, z wiarą w przyszłość idąca siła. Człowiek lat najwyżej trzydziestu pięciu, sześciu, postać niewielka, ale dobrze zbudowana, rysy niemające prawa do nazwy „pięknych“, ale giętkie, wyraziste; oko żywe, głos brzmiący, trochę zaprawny sztuczną treścią, ale w szepcie pokazujący rzetelną swą siłę; temperament sceniczny, śmiałość i pewność w chodzie i ruchach, mimika wykształcona, umiejętność słuchania, pomysłowość w grze niemej przykładna. P. Żelazowski wystąpił w trzech sztukach: *Aktorowie dworu*, *Właściciel kuźnicy* i *Zbójcy*; w ostatniej wzięł rolę Królikowskiego; w tej tylko roli widziałem go podczas gościnnych jego występów. Nie mogę na takiej podstawie opierać żadnego zgoła sądu; mam tylko obowiązek podzielić się z czytelnikami wrażeniem, jakie z jednego tylko przedstawienia wyniosłem. P. Żelazowski był młodszym,

żywszym od Królikowskiego, Franzem, a w granicach znowu tej wyższości nie chciał być naśladowcą Królikowskiego. Pojął istotę i obmyślił wcielenie roli swej samodzielnie, z oryginalnością, która może niezawsze trzymała się w karbach ciągłości psychologicznej, ale w każdym razie świadczyła o inteligencji. Gra była nierówną, zbyt szarpaną, wyskakującą z linii; sam głos przez oryginalną modulacją tracił nieraz swą dźwięczność i zasobność tego, co w języku profanów nazywa się tonem pierśowym. Choć musiało być dużo myślenia, nie było dość głębokości w grze: dusza tragiczna nie wyzierała z Franciszka p. Żelazowskiego.

Powtarzam, że jest to tylko wrażenie jednego objawu, a nie zdanie o wartości trwałej siły artysty p. Żelazowskiego. W każdym razie i to wrażenie wystarcza do uważania artysty lwowskiego za siłę dla każdego teatru pożądaną.

P. Edmund Rygier gra w Krakowie rolę tragiczną, gra i inne,—bo nie zawsze tragedye w teatrze nawet grać można. Jako Wojewoda w *Mazepie* Słowackiego, p. Rygier dowiódł poważnego pojęcia swego zadania; ale siła mu nie dopisywała, zastępował ją gwałt—krzyk. Artysta nie był „przy głosie“, miał jakąś treść, czy inne nieusposobienie głosowe. Ostatecznie, nie wrażał się swoim wojewodą w uwagę widzów — jakby musiało być przy grze dobrej, o którą w tej namiętnej, silnie ześrodkowanej, męczącej roli, bardzo trudno. Ale mimo to, znać, że Rygier jest artystą, zasługującym na wyróżnienie z tłumu. Laryka p. Gadomskiego miał grać wcale dobrze. P. Rygier jest prawie w jednym wieku z p. Żelazowskim; rysy ma łagodniejsze, postawę wyższą; szczerze kocha swą sztukę—ma w niej przyszłość.

Zbigniewem zwrócił na siebie uwagę p. Kotarbiński. W akcie IV w scenie z macochą było życie, boleść, wzgarda, miłość. Zaznaczamy to z przyjemnością.

Cui bono przedstawiono przeszłoroczną nowość Dumasa syna? Sztuka ta nawet nie zdołała znaleźć dla siebie polskiego tytułu i pod francuzkim weszła na scenę; a to samo, co z tytułem, dzieje się z „kwestya“—tą dręczącą Dumasa ustawicznie zmorą—i z przygodą, i z charakterami. Wszystko to może we Francji jeszcze mieć jakiegokolwiek znaczenie dla prawdy życia i prawdy sztuki; dla nas jest absolutnie bez wartości. Wiarołomstwo obustronne nie urosło jeszcze u nas w „kwestya“ tak palącą, ażeby żar jej odczuwać musieli dramaturgowie, uważający się za naturalnych przewodników ślepego zupełnie społeczeństwa. Dramaturgów takich zresztą wespół z sobą nie mamy, a patrząc na samego Dumasa, słuchając jego recept, przyjmując jednym uchem jego rozwiązania, aby je drugim wypuszczać, widząc go w tej roli myśliciela, mentora, przewodnika, przypominamy sobie mimowoli niezrównane w dowcipie słówko księcia biskupa Warmińskiego: „Wiódł ślepy kulawego“. Zapewne, i Francja, i świat, i my poszczególnie, potrzebujemy chłosty na obyczaje; ale nie dumarskiej dłoni sięgać po różgę, po katechizm moralności lub pochodnią prawdy! Jest to właśnie umysł równie ruchliwy jak płytki, równie świetny jak słaby, idący zawsze po linii krzywej, niezdolny do przekonań, ale lśniący się od bogactwa najprzeróżniejszych mniemań. Prawda nie jest u niego owocem trudu i walki, ale pomysłem, igraszką, pohulanką wyobraźni nieporządnej, ubiegającej się zawsze o coś, czego inni jeszcze nie powiedzieli. Bóztwem opiekunem jego umysłu jest sofistyka. Mistrz słowa, kolorysta znakomity, „raisonneur“ chwytający słabsze umysły na wędkę, Dumas broni prawie zawsze spraw upadłych i dlatego działalnością swą krzywdę Francji, a pośrednio i światu, wyrządza. Francuzi panują bowiem na teatrze świata; byłoby to niedbalstwem nie przedstawić czegoś, co się już pojawiło w *Comédie* lub *Gymnase*, a ma za autora jakiegoś pisarza z rozgłosnem nazwiskiem, jednego z Czterdziestu Nieśmiertelnych. Tym sposobem Dumas zaraża Europę, zaraża i nas.

P. Kazimierz Zalewski rapisał teraz nad Dumasem szereg rozumnych uwag, które warto odczytać.

Nikt nie uwierzy w prawdopodobieństwo ta-

kiej „Francillon“. Jedno z dwoga: albo ta dama nie zasłużyła sobie u mężczyzn na poufałą nazwę chłopczyńską, albo też po owym balu maskowym—obywała się już bez maski. Cała przygoda dumasowska jest taką samą facecyą, jak wrzekoma anegdotka Brantome'a, o której autentyczności powątpiewa krytyka paryzka. Z materiału na tłustą krotochwilę, w rodzaju rozmaitych głupstewek z *Variétés*, *Palais Royal* i t. d. ulepił Dumas wielką tendencyjną komedyą, z rozmowaniami, z traktatami obyczajowemi, z prawem kanonicznem, z całym processem dyalektyki, siłacej się na dowodzenie równego prawa żony jak męża—do bezprawia. W sztuce oddychamy atmosferą tak wstrętnej sofistyki—że gdyby nie kunszt formy, nie wytrzymałybyśmy do końca.

Okrzyk kończący sztukę ma świadczyć o moralnej oporności Franusia, czy też Franusi w chwili, kiedy odwet jej dobiegał już do punktu kulminacyjnego; ale świadectwo takie wystarczy tylko dla Dumasa i jego wielbicieli paryzkich. Mogła sobie ta pani krzyknąć nawet szczerze „skłamała“,—ale krzykiem tym nie przyniosła dowodu prawości woli, bez której prawosć zewnętrznych czynów jest zeszcłym badylem. Nakręcenie sofistyczne przygody nie tamuje w widzu rozeznania, że kobieta niezsupsuta nie rzuciłaby się nigdy do takiego odwetu, jakim jest owa wycieczka z balu opery pomiędzy II a III aktem komedyi dumasowskiej. Zrozumielibyśmy to, gdyby ściagała męża, wpadła do jego łoża czy gabinetu i bodaj nawet wydrapała oczy swej współzawodnicze przygodnej; ale dawać dowód swego przywiązania i moralności — ofiarowaniem ramienia nieznanemu mężczyźnie, po balu opery: na to zdobyć się mógł tylko taki pisarz przewrotny, jak Dumas.

Pani Ludowa grała bardzo dobrze Francillon. Tem gorzej, bo publiczność dla samej gry zrobiła to, czego by może nie zrobiła dla Dumasa, zwłaszcza po przeczytaniu krytyk miejscowego dziennikarstwa, które dobrze spełniło swój obowiązek.

Stanisław Krzemiński.

SPRAWOZDANIE

Z DZIAŁU WYCHOWAWCZEGO

NA WYSTAWIE HYGIENICZNEJ.

(Dalszy ciąg).

I. Hygiena indywidualna. A) *Hygiena niemowląt.* 1) Najgłówniejszym zasadniczym warunkiem, zapewniającym prawidłowy rozwój organizmu dziecięcego i zapobiegającym rozwijaniu się wielu chorób następujących jest: *karmienie mlekiem zdrowej matki lub zdrowej mamki.* Odstawienie dziecka od piersi powinno nastąpić nie wcześniej, jak po ukończeniu 1 roku. (Potrzeba obecności 8 zębów przednich). Nie odstawać w Maju, Czerwcu i Lipcu i wogóle podczas upałów.

2. *Karmienie sztuczne* winno być stosowane wyjątkowo i tylko przy odpowiednim użyciu dobrego mleka krowiego, oraz czystych naczyń i odpowiednich smoczków.

3. *Powijaki i ubrania uciskające*, jako mogące wpływać niekorzystnie na fizyczny rozwój niemowlęcia, nie powinny być używane. Czepeczki u dzieci włóściańskich i niezamożnych są ochroną dla skóry głowy od działania kurzu, niosącego w sobie zarodki chorób skórnych. Wymagamy, aby czepeczki były płócienne, przewiewne (nie ażurowe i nie krymki aksamitne) i jasne, a więc częstego prania wymagające.

4. *Czystość ciała, ubrania i pościeli* jest niezmiernie ważną w higienie niemowląt. Odzież dla nich powinna być lekka i niebarwiona, również, jak i zabawki, które dzieci zwykłe do ust biorą. Kąpiel codzienna, mycie głowy, uszów, jamy ustnej i t. p.

5. Dziecko nie powinno nigdy *spiać wspólnie*

z innymi dziećmi, ani też z osobami starszemi w jednym łóżku. Kołyski mają być tak urządzone, aby nie narażały główki na zbyt gwałtowne ruchy kołysania i aby z nich dziecko wypaść nie mogło. Firanki nad kołyską utrudniają ruch powietrza i stają się zbiornikiem szkodliwego kurzu.

6. *Szczepienie ospy* powinno nastąpić koniecznie w pierwszym roku życia.

B) *Hygiena dzieci i młodzieży.*

1. *Czystość ciała, odzieży i pościeli.* Mycie rąk przed jedzeniem i po jedzeniu, płukanie ust po jedzeniu, mycie szyi codziennie, kąpiel co tydzień, zmiana koszuli co drugi dzień. Odzież nie powinna być krepująca, najlepiej dla młodszych dzieci trykotowa, kroju angielskiego. Części ubrania bezpośrednio przylegające do ciała (pończochy, kaftaniki, kalessony) niebarwione. Barwa, nawet nietrująca, brudzi skórę, zatyka otwory gruczołowe—jest więc szkodliwa. Obuwie ma być zastosoane do budowy stopy, a nie do jakiejś ogólnej teoretycznej formuły, lub też mody.

2. *Sen, praca, odpoczynek.* Najodpowiedniejsza jest zasada amerykańska trzech ósemek, t. j. 8 godzin snu + 8 godzin pracy + 8 godz. odpoczynku—24 godzin. Dla młodszych dzieci 9 godzin snu, 6 do 7 godzin pracy. Nauka pisania i czytania powinna uwzględniać higienę wzroku i tułowia. Druki mają odpowiadać wymaganiom, postawionym przez okulistów. Zeszyt ma być ułożony podług metody racjonalnej t. j. uwzględniającej utrzymanie wzroku w stanie normalnym i prawidłowe położenie kręgosłupa. Praca i odpoczynek winny być rozdzielone odpowiednio do wieku dzieci. Praca umysłowa niepowinna mieć miejsca bezpośrednio przed udaniem się na spoczynek. Odpoczynek winien się łączyć, o ile to możliwe, z ruchem na świeżem powietrzu.

3. *Gymnastyka, taniec, szermierstwo, jazda konna, żywiarstwo, pływanie, śpiew*, powinny znaleźć szczególne uwzględnienie w higienie młodzieży. Najlepiej gdy takowe odbywają się zbiorowo, według pewnego systemu i pod okiem doświadczonego pedagoga z uwzględnieniem ochrony od wypadków i skaleczeń.

4. *Żywnienie.* Ilość i jakość pokarmów dla dzieci starszych obejmują tablice żywnościowe (wystawione w oddziale fizyczno-chemicznym). Posilek winien być podawany dzieciom starszym 4 razy dziennie z przerwami 4-ro godzinnymi, wyjąwszy dłuższą przerwę po obiedzie. Potrawy odgrzewane nie zalecają się; jadłospis (menu) winien być co tydzień zmieniany; każde dziecko powinno mieć osobną łyżkę, widelec i talerzyk.

Zabawki powinny być a) nieszkodliwe dla zdrowia (czy to barwą swą, czy łatwością wybuchania, czy kruchością, mogącą spowodować skaleczenia); b) nieszkodliwe dla rozwijającego się mózgu (czy to zbyt fantastyczną lub niemoralną treścią tekstu lub ilustracji, czy też rozbudzeniem zamięłowania do gry); c) gry połączone z ćwiczeniem ciała uważać należy za bardzo higieniczne i za najodpowiedniejsze dla uczącej się młodzieży.

II. *Hygiena pomieszczeń.*

1. *Budynek szkolny* odosobniony, o systemacie pawilonowym, położeniu południowym.

2. *Pokój szkolny.* Klasa) nie dłuższy nad 9 do 10 metrów, nie głębsza nad 7 metrów, maximum wielkości 70 metrów kwadratowych powierzchni, wysokość nie większa nad 4,5 metra, maximum przestrzeni sześciennych klasy normalnej 315 metrów sześciennych. Ilość sześciennych metrów powietrza *na jednego ucznia* w klasie od 4 do 7 metrów sześciennych, nigdy mniej niż 3 metry sześcienne.

Najważniejszymi warunkami higienicznie urządzonej klasy są odpowiednia *kubiczność* izby (patrz wyżej) odpowiednie *oświetlenie*, *ogrzewanie* i *przewietrzanie*, oraz odpowiednia *ławka szkolna*.

Oświetlenie klasy winno być zawsze *ze strony lewej* siedzących uczniów. Dla dobrego oświetlenia powierzchnia okien w klasie do powierzchni samej klasy winna być w stosunku 1:5. *Oświetlenie* sztuczne, najlepsze gazowe, z lewej strony siedzących uczniów, licząc 1-ą lampę gazową na 4-ch uczniów.

Ogrzewanie i przewietrzanie. Wymaganą jest

w szkole ciepłota jednostajna od 18 do 20° C., (t.j. od 14½ do 16 R.), oraz łatwość regulowania ciepłoty we wszystkich częściach budynku szkolnego. Dla przewietrzania, kanały odprowadzające powietrze zepsute winny znajdować się jak najdalej (po przekątnej) od kanałów doprowadzających. Powietrze świeże, lekko ogrzane, winno być doprowadzane w ilości 18 do 20 metrów sześciennych na godzinę. Zachowaną być winna odpowiednia wilgotność powietrza w klasie najmniej 50% wilgotności względnej.

Ławka szkolna jest niezmiernie ważna, gdyż niehygieniczna powoduje nieprawidłowe siedzenie ucznia, czego następstwem bywają: skrzywienia kręgosłupa, nieodpowiedni rozwój klatki piersiowej, krótkowzroczność i t. p. Dobra ławka szkolna winna być tak zbudowana, aby piszący uczeń nie potrzebował pochylać głowy naprzód i nie trzymał skosnie barków, t. j. nie siedział krzywo. Wzorowe ławki szkolne (Kunzego, Kaiser'a, Fahrner'a) są zwykle tak zbudowane, że ławka i stolik do pisania stanowią jedną całość. Odróżniają w nich:

Odległość poziomą t. j. odległość wewnętrznego brzegu stolika od zewnętrznego brzegu ławki (siedzenia), które winny tak zachodzić jeden nad drugim, aby przedni brzeg ławki podchodził 2 do 5 ctm. pod wewnętrzny brzeg stolika (jest to t. z. odległość odjemna). Siedzenie jest ruchome i podnosi się w czasie wstawania ucznia.

Odległość pionową t. j. odległość wewnętrznego brzegu stolika od siedzenia ławki. Oznaczamy ją odległością łokcia ucznia (przy opuszczonem ramieniu) od siedzenia ławki, i do liczby znalezionej dodajemy 2 do 2,5 ctm., który to dodatek oznacza nieznaczne podniesienie przedramienia przy przesuwaniu podczas pisania. Odległość pionowa wyniesie dla chłopców 15% długości ciała, dla dziewcząt 16% długości ciała.

Wysokość ławki t. j. odległość siedzenia od podłogi, odpowiadać winna długości nogi ucznia, licząc od pięty do zgięcia podkolanowego. Długość ta wynosi przecięciowo ¾ długości ciała.

Deska siedzeniowa winna być nieco ku tyłowi pochylona.

Poręcz ławki dostateczna dla oparcia tylko krzyża i lędźwi.

Stolik winien być pochylony i kąt pochylenia ma wynosić przecięciowo około 14 stopni ku przodowi. Długość stolika 50 do 60 ctm., szerokość 35 do 40 ctm.

Za najlepsze uznane zostały ławki dwusiedzeniowe, a w każdym razie winny one być ściśle zastosowane do wzrostu uczniów.

Ławka domowa ma być jednosiedzeniowa i urządzona tak, aby jej wymiary można było zmieniać w miarę wzrostu dziecka 1).

Dalszy ciąg nastąpi.

RESURSA KOBIECA.

W Warszawie, jak doniosły dzienniki, ma być założona resursa kobieca, której członkowie, wyłącznie kobiety, korzystałyby tak, jak we wszystkich tego rodzaju zakładach męskich, z towarzystwa wspólnego wieczorami, z czytelnymi pismami, a nawet mieliby dla rozrywki bilard.

1) Właśnie taką ławkę, zbudowaną według wszelkich wymagań higienisty, wystawił p. Gostyński, w sali szkolnej N. 2 naprzeciwko szafy z wyrobami Szkoły Rzemiosł; zwracam na nią szczególną uwagę, tem więcej, że i cena nie jest wygórowana.

Wiadomość o tem, wywołała we wspomnianych pismach ogólną nagannę, jak coś sprzecznego się z obyczajnością kobiety zanej, coś rozkładającego rodzinę. Czy jednak tak by to koniecznie być musiało? Aby sędzić tę kwestyę, trzeba się najpierw zastanowić, czy to kobieta, żyjąca w szczęśliwych warunkach rodzinnego, domowego koła, korzystając z takiej resursy zapragnęła i czy wszystkim kobietom los zapewnił dom rodzinny? Wiemy wszyscy, że nie — że jest w Warszawie znaczna liczba kobiet samotnych, które same na siebie pracować muszą, a rzadko której zarobek tej pracy pozwala stworzyć rzeczywiste ognisko domowe, to jest takie, gdzieby ktoś jeszcze obok niej przebywał, gdzieby prowadziło się jakieś gospodarstwo, gdzieby czasem przyjąć było można życzliwych sobie ludzi, i zabawić się z nimi, rozerwać i oświecić sobie umysł jakąś wymianą myśli. Najczęściej pokoik to bywa, odnajęty od rodziny obcej i nieznaney, która nie pragnie żadnych z tą swoją lokatorką stosunków, podobnie jak i ona bo są to ludzie obcy sobie i wypadku to tylko może być dziełem, jeżeli podobają się sobie na wzajem, jeżeli usposobieniami sobie odpowiedzą i węzłem ściślejszego stosunku się łączą.

Na wypadki nikt przecież liczyć nie może, i to jeszcze na wypadki, które z natury rzeczy muszą być tak rzadkie, że je wyjątkowymi nazwać trzeba, a jednak liczba kobiet pracownic samotnych wzrasta i ogarnia coraz więcej te klasy inteligentne, które pod względem związków towarzyskich muszą być wybredniejszemi, tak przez nawyknięcie do pewnych form towarzyskich, jak i przez poziom umysłowy. Mieć swój kącik własny, jest to dla kobiet tej kategorii jakąś cząsteczką szczęścia, bo swobodą i układem życia takim, jakie odpowiada gustom ich i usposobieniom. W rodzinie—to co innego: wspólność interesów, dawne nawyknięcia, uczucie wzajemnego przywiązania wygładza chropowatości i godzi wszystko szczęśliwie. Między osobami obcemi rzecz trudniejsza do osiągnięcia, a nawet wtedy, gdy dwie takie pracownice złączą się razem, jeszcze to nie usuwa tych pragnień towarzyskiego życia, które kobieta pracownica uczuwa tak, jak człowiek każdy, a które rzadkokiedy zadowolnić może dla braku stosunków, a nawet dla swego podrzędnego stanowiska—dla tego, że ona nawzajem przyjmować nie może, nie może oddać ludziom tego, co od ludzi przyjmuje.

Więc praca tylko, a potem nic, prócz odpoczynku fizycznego? We wszystkich wielkich miastach Europy, prócz Francji, pomysłano o restauracjach dla kobiet samotnych, gdzie używać mogą pewnej przyjemności towarzyskiej pogawędki, gdzie znajdują pisma do czytania, a co razem zastępuje poniekąd taką resursę, surowo u nas zganioną. Pisząca to zwiędziała w Wiedniu taką restauracją i przekonała się naocznie, jaka to pożyteczna instytucja, takie miejsce zebrania dla kobiet samotnych. Weszłam tam w tej porze wieczornej, w której Wiedeń kolacją jada, i znalazłam kilkanaście kobiet, między innymi dwie Polki, Galicyanki, osoby przyzwoite i bardzo dobrze wychowane, z których jedna była nauczycielką na godziny, druga szyla rękawiczki do wielkiego ich składu pracującego na wywóz. Tu się poznały i siedziały teraz razem przy stoliczku jednym, czytały *Czas*. Rękawiczniczka, p. Wanda W., sierota po byłym urzędniku, już nie pierwszej młodości panna, opisywała mi właśnie, jakby jej ciężko było pędzić życie, gdyby nie ta restauracja, gdzie miło i wygodnie może odpocząć, gdzie spotyka się czasem z Polkami, poznaje je i zawiązuje niekiedy stosunki — gdzie może czytać pisma nasze, które

prenumerować byłoby jej zatrudno. Rdzina jej brata, przy którym początkowo zamieszkała, wyniosła się z tego miasta, ona została, bo znajdowała tu pracę!..

Dla tego właśnie—dla pracy skupia się w miastach większych wiele kobiet samotnych.

Taka resursa, o jakiej pisano, a która by przedstawiała pewne rękojmię odpowiedzialności moralnej jej uczestniczek, byłaby rzeczą dobrą i pożyteczną, a w żadnym razie nie sprzeczałaby się z ideą kobiety w rodzinie. Ciężka to jest rzecz po dniu całodziennej pracy widzieć w koło siebie według starego przysłowia, tylko *cztery kąty i piec piąty!* Otóż resursa kobieca dawałaby osobom samotnym coś spokojnej, miłej, na warunkach prostych i przyzwoitych opartej rozrywki w kółkach znajomych, któreby się prędko potworzyły. Nie rozumiem dla czego szczególnie bilard uderzył nieprzychylnie sprawozdawców? W grze bilardowej niema nic, dla kobiety niestosownego, ani nieprzyzwoitego; w bardzo wielu dworach wiejskich są bilardy, bardzo wiele kobiet na wsi wychowanych w bilard grać umie i z korzyścią dla zdrowia używa tej rozrywki, nadającej dobry ruch ciału, a która tylko w miastach łączy się u niektórych osób z wyobrażeniem kawiarni. Jeżeli chodzi o kosterstwo, tożby i szachy, a bogdaj i loteryjkę, wypędzić trzeba ze stosunków towarzyskich.

Resursa kobieca, właśnie dla wyłączności swojej nie ściągałaby do siebie kobiet płochych, lekkomyślnie usposobionych, lecz przeciwnie przez dostarczenie jakiejś sposobności uniknięcia nudów, mogłaby bronić od płochości, od lekkomyślności. A stosunek starszych z młodszymi, a rada dobra, a słowo przestrogi siostrzanej i wężły przyjaźni, zawartej przez niedoświadczonych z doświadczonymi? W resursie takiej nie można się dopatrzeć nic złego, nic występującego przeciw idei rodziny, a wiele rzeczy pożytecznych obiecywać sobie z niej można. Uważałabym już to za pożytek, gdyby kobieta młoda i samotna nie potrzebowała szukać wieczorem filizanki herbaty i dziennika w cukierni; uważałabym za pożytek, aby nie zatracala skromności kobiecej, nie nabierała przez nawyknięcie pewnego śmiałego szyku emancypantek właśnie, przeciw którym chciano zapewne wystąpić, występując przeciw resursie kobiecej. Dawny układ życia zmienia się pod parciem konieczności, więc i w obyczaje coś nowego wprowadzić trzeba; chodzi tylko o to, aby nowość złą nie była.

M. J.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Pogawędka. — Zdrowe wychowanie i kształcenie umysłu, przez Maryą Ilnicką. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Wystawa higieniczna, przez Dra J. Starkmana. — Przegląd teatralny, (dokończenie), przez St. Krzemińskiego. — Sprawozdanie z działu wychowawczego na Wystawie higienicznej, (dalszy ciąg), przez Wł. Nowickiego. — Resursa kobieca, przez M. J. H. Rabussona. — Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — Przegląd mód. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozyca stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою.—Варшава, 10 Іюня 1887 года.

Przegląd mód.

Jak się urządzić w podróży.

W chwili, gdy niejedna z moich czytelniczek wybiera się w podróż, uważam za właściwe rzucić kilka praktycznych uwag, dotyczących stroju w drodze i w ogóle podczas sezonu letniego u wód, lub nad brzegiem morza. Już w poprzednim numerze Bluszczu radziłam, brać ze sobą niewiele sukien; dla osób nie chcących błyszczeć strojami, 4 gustownie zrobione suknie, są wystarczające. Trzeba je tylko umiejętnie zastosować do temperatury, jaka panuje w miejscowości, do której się wybieramy. Nad brzegiem morza i w górach, cieplejsze wełniane suknie, okazują się zawsze praktyczniejsze; trzeba pamiętać o tem, wybierając się w drogę, że może być więcej dni chłodnych i wietrznych, niż skwarnych, a gdy się doda do tego poranki i wieczory, spostrzeżemy, że należy nam zabezpieczyć się odpowiednio. Ciepły, długi płaszczyk jest niezbędny. Na drogę najwygodniejsze są płaszczki z luźnymi przodami, z surowego jedwabiu, beżu, szewiotu lub sukienka. Na suknię podróżną wybierać materyały nie gniotące się zbyt łatwo i fasony skromne. Kapelusze z miękkiego filcu, lub ciemny słomkowy, z jaką kokardą w kratę, uzupełnia całość podróżnego stroju. Na codzienną tualetę u wód kolor granatowy, z jaką odmianą pasową lub wiśniową, bardzo dobrze służy, a jest w tym roku wyjątkowo uprzywilejowany. Wszystkie paski, kratki i rzuciki na granatowym tle, nadzwyczaj są noszone. Paryżanki noszą odważnie całe suknie pasowe, pasowe okrywki pasowe parasolki, u nas na szczęście moda ta się nie przyjęła, a ja osobiście nie pochwalam tej mody zbyt krzyczącej. Koronkowe upięcia, koronka rzucona na pasowej spódnicy tworzy bardzo gustowne strojne tualety. Do przybrania strojnych okrywek i sukien, bardzo wiele używają galonów z kolorowych paciorków, przypominających deseniem arabski z indyjskich szali i dlatego paciorki owe „kaszemirskimi perłami“ są zwane. Pasowy z zielonym i złoty kolor w tych galonach przemaga. W ogóle kolor pasowy z zielonym coraz śmielej wchodzi w bezpośrednie połączenie.

Jeszcze słówko o ubraniach, w których do kąpieli się wchodzi. Każda praktyczna osoba, może się zaopatrzyć w takowe w domu przed wyjazdem. Rozmiar tych form Bluszcz w r. z. dostarczył, należy tylko zastosować materyał do potrzeby. Do morskich kąpieli właściwsze są flanely, barchany i włochate miękkie tkaniny na płaszcze i ręczniki, do rzecznej kąpieli można podług tych samych fasonów przygotować sobie u-

branie z płótna, oxfordu, perkalu i t. p. tkanin. Czepki powinny być koniecznie nieprzemakalne, zwłaszcza do kąpieli morskiej, gdyż sól zawarta w morskiej wodzie, źle oddziałuje na kolor włosów. Sądzę że nie jednej czytelniczce zrobię przysługę, wybawiając ją od niemiłego położenia, które się często zdarza — zepsutego kuferka. Na kolejach po barbarzyńsku się z nimi obchodzą i trzeba się też zaopatrzyć w rzecz mocną, która by to znosiła. Otóż przy ulicy Królewskiej Nr 1, w wielkim magazynie kufrów i podróżnych przyborów, reperują i prosto przerabiają na nowe wszelkie zepsute kufrы i torby, za bardzo stosunkowo nie wielką opłatą. W tym kierunku daję także radę, że najlepiej brać jeden większy kufer — gdyż tragarze od każdej sztuki płacić sobie każą oddzielnie, a powtóre przy odbieraniu z kolei, duży prędko się znajdzie, a małego szukać musi tragarz często bardzo długo; małe pakunki, których nie można mieć więcej jak dwa, szal w paskach i jakieś pudełko czy torbę, brać do wagonu, a parasol jeszcze konieczny — parasolkę jeżeli możliwe, w kufer włożyć.

L. Ó.

zroczysty deseń pleciony, ozdobiony szlaczkiem szydełkowym z różnokolorowej perskiej włóczki, oraz haftem i bąbelkami. Haft wykonać na zroczystych szlakach pletni, niebieską, pasową i oliwkową włóczką, tudzież złotą przędzą, podług deseni podanego na ryc. 9, poczem wykonać szydełkiem torsadkę zdołającą koszyk u góry i przy podstawie, na te ostatnią wykonywać ciągle naprzemian: 1 pow. ocz., 1 pikot (to jest 8 o. pow. i 1 ściśle łańc. oczko w pierwsze z tychże). Wewnętrzne ściany koszyka pokryć szydełkową robotą, wykonaną podług miary koszyka; w tym celu wykonać łańcuszek odpowiedniej długości, a następnie w każdym oczku założenia przerobić 1 podw. słup.; wykonawszy w ten sposób wewnętrzną torebkę, brzegi takowej połączyć z brzeżną torsadką, przerabiając złotym sznureczkiem ciągle naprzemian: 1 ściś. ocz. w brzegi roboty, 2 o. pow. Pałeczki koszyka obszyć ściągaczką szydełkową, niebieską włóczką wykonaną podług miary.

Kołderka na kołyskę lub wózek dziecienny.

Rycina Nr 14 i 15 w Bl. Nr 24.

Koszyczek na sprawunki gospodarcze.

Rycina Nr 8 w Blu. Nr 24.

Koszyk z lyczka częścią gęsto, częścią w prze-

Kołderka złożona z pasów, białą i niebieską knotową włóczką wykonanych ścięciem w rodzaju tunetańskiego; każdy pas niebieski otoczony jest z 2 boków jedną koleją wykonaną białą włóczką i na odwrót, każdy pas biały obrobiony jest niebieską włóczką. Połączenie pasów stanowi jedna kolej oczek ściś. niebieską włóczką, po prawej stronie roboty wykonanych. Każdy pas rozpoczając na założeniu z 9 oczek zwyczajnym tunetańskim ścięciem. Na każdy rząd ścięgów tunetańskich idzie dwie koleje roboty, pierwsza, w której się ocz. zbierają na szydełku i druga, w której takowe się przerabiają. W kolei pierwszej należy 8 do 1 ocz. założenia zebrać na szydełko 8 o., poczem w odwrotnej kolei każde z nich przerobić zwyczajnym sposobem; w następnych kolejach, przy zbieraniu ocz. na szydełko, należy wykonywać muszki i tak: w 1 kolei drugiego rzędu * należy zebrać 1 oczko z 2 prostopadłych żyłek poprzedniej kolei i 1 oczko z żyłki już poprzednio przerobionej, z tem ostatniem ocz. na szydełku przerobić najbliższe łańc. ocz. powrotnej kolei, potem poprzednie 2 i powstałe z tego oczko w następnej kolei, razem z innemi przerobić zwyczajnym tunetańskim ścięciem, od * 3 razy powtórzyć; w 3 rzędzie roboty wykonać 3 takie muszki, po każdej 1 tunetańskim ścięciu (każda muszka powinna wypaść pomiędzy dwoma poprzedniemi) z brzegów należy wykonywać po dwa zwyczajne tunetańskie ścięgi. W 4 rzędzie roboty wykonać 2 muszki po każ-



Nr 1. Suknia spacerowa z okrywką. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20—23.

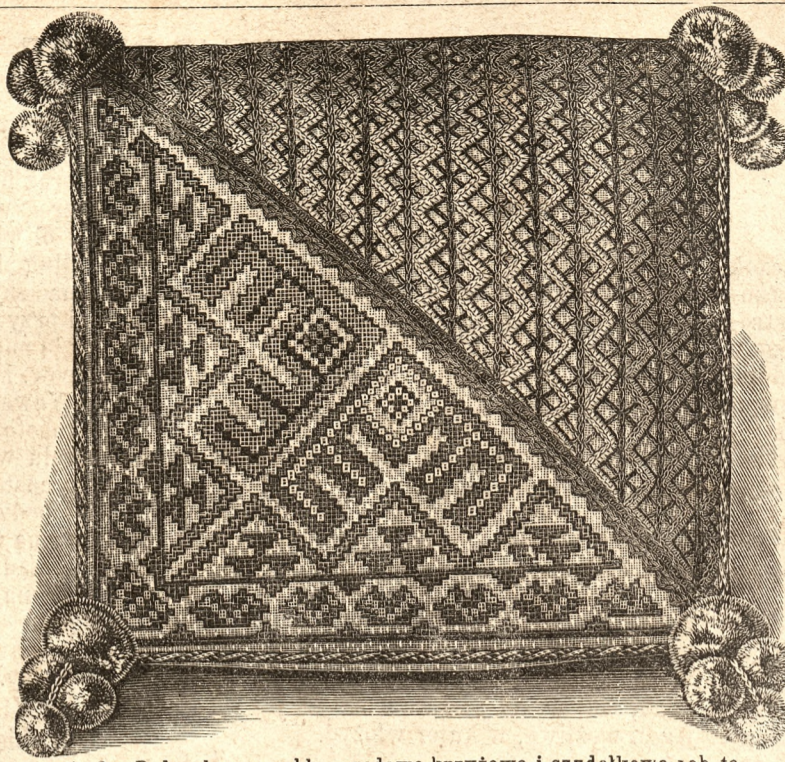
Nr 2. Płaszcz podróżny od kurzu. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 14—19.

dym 1 tunetańskim ścięgi i po 3 tunetań. ścięgi z każdego brzegu, w 5 rzędzie 1 muszka i 4 tunetańskie ścięgi z każdego brzegu roboty, poczem aż do potrzebnej długości roboty, należy powtarzać 2 do 5 kolei. Na brzeżne otoczenie pasów * zebrać 1 ocz. z tego rzędu, w którym znajdują się 4 muszki, przerobić takowe, poczem każde z następnych brzeżnych ocz., od * powtarzać z jednej i drugiej strony pasa. Połączywszy pasy, należy je otoczyć ząbkami białą włóczką, * 1 ścis. ocz. w najbliższe ocz. brzeżne, 5 pow. ocz. na tych ostatnich z powrotem 1 ocz. opuścić, 4 ocz. zebrać, wszystkie razem przerobić, 2 ocz. opuścić, od * powtórzyć. Na każdym ząbku zamocować 1 bombelek z niebieskiej włóczki.

Kaftanik dla małych dzieci szydełkową robotą.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 24.

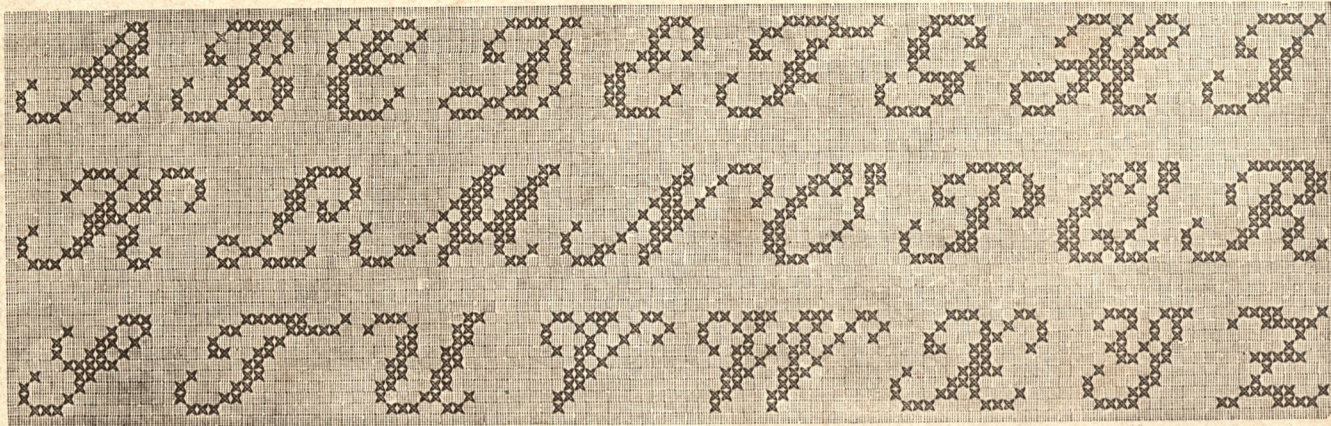
Kaftanik z białej zefirowej włóczki, zakończony szlaczkiem naśladowującym falbankę z białej i niebieskiej włóczki. Wykrój szyi i rękawy przyozdobione są brzeżkiem z niebieskiej włóczki, wyłożonym u dołu podług ryciny. Robotę rozpocząć od prawej połowy pleców, na założeniu z 48 ocz. Kolej 1: 3 pow. ocz. na tych



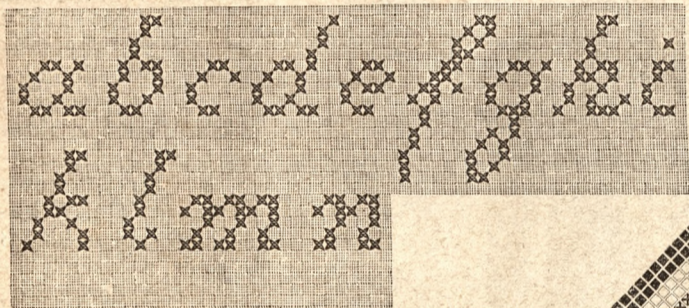
Nr 3. Poduszka na meble ogrodowe krzyżową i szydełkową robotą

samych z powrotem, 1 ocz. opuścić, 2 ocz. zebrać z następnych ocz., 2 pow. ocz., 3 o. zebrać z następnych 3 ocz. założenia, na szydelku będące ocz. razem przerobić 1 ocz., te ostatnie ściągnąć, * 1 pow. ocz., 5 ocz. zebrać na szydelko, a mianowicie: 1 ocz. z poprzedniego ocz., 2 ocz. z wierzchniej żyłki ocz. powstałego z przerobienia 6 ocz. i 3 ocz. z kolejnych 3 ocz. założenia, wszystkie razem przerobić 1 ocz., to ostatnie ściągnąć, od * powtórzyć. Kolej 2: 3 pow. ocz., * 1 ocz. z ocz. powstałego z przerobienia 6 ocz. poprzedniej kolei, 1 pow. ocz., obydwa razem przerobić, 2 pow. ocz., od * powtórzyć, nie przeraabiając jednak ostatnich 2 pow. ocz. Kolej 3 do 14 ciągle naprzemian: jak dwie poprzednie koleje, z tą różnicą, że oczka zbierane w 1 kolei z ocz. założenia, zbierać z oczek poprzedniej kolei, lecz tylko z żyłek leżących na palcu. Na wykrój szyi stopniowo zwiększać ilość ocz., dlatego w 4, 6 i 8 kolei, zamiast pierwszych 3 pow. ocz., wykonać 6 pow. ocz., z których w następnej kolei utworzyć figurę deseni. W 15 kolei zaczyna się przód,

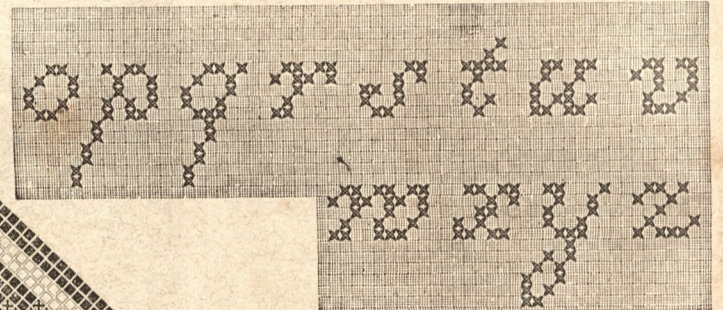
wykonawszy od dołu 11 figury deseni, na wycięcie pachy pozostawić resztę tego rzędu roboty nie wykonaną i założyć na nowo 24 ocz., z których ostatnie z 1 o. 14 kolei przerobić. Kolej 16 jak poprzednia parzysta kolei, zbierając na szydelko co trzecie ocz. ostatniego założenia; w ten



Nr 5. Abeczało do znaczenia bielizny krzyżowym ścięgiem. (Do ryc. 6 i 7).



Nr 6. Połowa małych liter krzyżowym haftem. (Do ryc. 5).



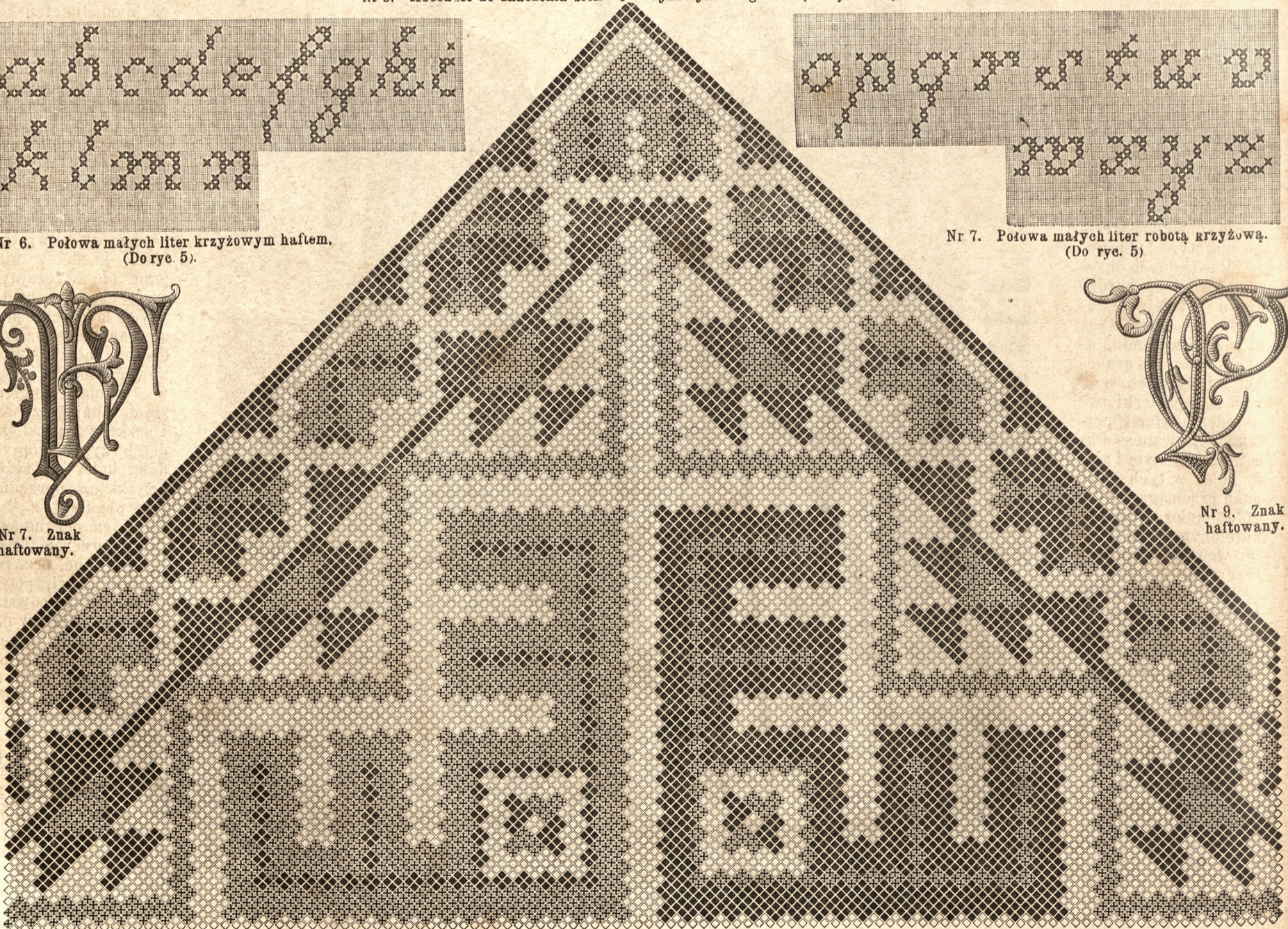
Nr 7. Połowa małych liter robotą krzyżową. (Do ryc. 5)



Nr 7. Znak haftowany.



Nr 9. Znak haftowany.



Objaśnienie znaczków: ■ niebieski, * pasowy, □ tło. Nr 4. Deseń na poduszkę ryc. 3 krzyżową robotą

sam sposób jak dotąd, należy następnie wykonać 17 do 28 kolei, która stanowi środek przodu kaftanika, przy zakończeniu wszakże 17, 19 i 21 kolei należy na ramieniu spajać każde ostatnie ocz. górne z brzeźnami ocz. 13, 11 i 9 kolei, każde pierwsze górne (to jest: przy rozpoczęciu 18, 20 i 22 kolei) z brzeźnami ocz. 12, 10 i 8 kolei. Od 23 kolei stopniowo tracić ocz., dla nadania właściwej formy, przy wykroju szyi; w tym celu należy w 23, a później w 25 i 27 kolei, ostatnich przy szyi 6 ocz. przezroczystych na 1 figurę deseni nie wykonywać. W dalszym ciągu roboty należy wykonać drugą połowę kaftanika, przyczem zastosować odwrotny porządek kolei, od środka przodu, do tylnego brzegu kaftanika; poczem dolny brzeg, wykrój szyi i rękawki, zakończyć najpierw dwoma kolejami oczek ścisłych, następnie dolny brzeg jeszcze jedną koleją oczek ścisłych, przyczem robotę trzymać w przeciwnym kierunku, a każde ocz. przerabiać z górną żyłką poprzedniej kolei. Odwróciwszy następnie robotę, rozpocząć dolną falbankę: kolej 1: 1 ścis. ocz. w najbliższe ocz., 9 pow. ocz., 3 ocz. opuścić. Kolej 2: * 4 ścis. ocz. w 4 kolejne ocz. poprzedniej kolei, 3 ścis. ocz. w następne ocz., 4 ścis. ocz. w kolejne 4 ocz., 1 ocz. opuścić, od * powtórzyć. Kolej 3: Najbliższe ocz. opuścić, * 4 ścis. ocz. w kolejne 4 ocz., 3 ścis. ocz. w następne ocz., 4 ścis. ocz. w kolejne 4 ocz., 2 ocz. opuścić, od * powtórzyć. Kolej 4 do 6, jak poprzednia kolej, 6 wszakże niebieską włóczką. Poczem następuje jeszcze jedna kolej, za pomocą której składy falbanki są zamocowane; w tym celu należy po lewej stronie roboty wykonywać ciągle na przemian: 1 ścis. ocz. w żyłkę powstałą z przerobionych w 3 kolei 3 ocz. w jednym ocz. i 2 pow. ocz. Rękawki zacząć na założeniu z 36 ocz. na których w powrotnej kolei wykonać 6 figur deseniowych, pozostawiając pozostałe ocz. nieprzerobione; w następnej kolei przerobić pierwsze 5 figur deseni w ten sposób, jak przy robocie kaftanika, wykonywały się wszystkie koleje, nieparzystą liczbą oznaczone, poczem następuje 22 koleje, w których dla nadania właściwej formy rękawkom, przerobić także resztę oczek założenia i tak: w 4 kolei wykonać 12 figur deseni, w każdym zaś 2 z następnych 6 kolei, przybywa po jednej figurze, poczem następne 6 kolei wykonywają się bez żadnej zmiany, zaś w każdym 2 kolejach, z następnych 6 kolei, po 1 figurze mniej wykonywać; w ostatnich 2 kolejach przerabiają się już tylko 5 figur, poczem rękawki wzywają się wierzchem w pachy, po lewej stronie roboty. Przy rączce i przy szyi wykonać dwie koleje oczek ścis. i jedną kolej ocz. ścisłych, stanowiących wyłożenie, jak u dołu kaftanika, poczem jeden rząd ząbków brze-



Nr 10. Ubranie dla chłopczyka od 6 do 8 lat.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 30-38.

żnych, oraz przy wyłożeniu w następny sposób: 2 ścis. ocz. w 2 kolejne ocz., 4 o. pow., 1 ścis. łącz. ocz. w przedostatnie o. Takież ząbki stanowią zakończenie tylnych brzegów kaftanika.

Część kołderki na wózek lub kołyskę szydełkową robotą

Rycina Nr 27 w Blu Nr 4.

Kołderka z białej puchowej włóczki, na podwójnym podkładzie z niebieskiej włóczki tegoż gatunku, wykonane w kierunku długości, bardzo luźno. Brzegi otoczone dwoma kolejami powietrznych ząbków podług ryciny, niebieską i białą włóczką wykonanych. Wykonawszy założenie żądanej długości, należy wykonać z powrotem kolej 1: 1 ocz. opuścić, poczem ciągle po 1 ścis. ocz. w każde ocz. założenia, na podkładzie z niebieskiej włóczki. Kolej 2: 1 pow. ocz., poczem po jednym ocz. ścis. w każde ocz. założenia, również na podkładzie z niebieskiej włóczki i tak dalej, aż do potrzebnej szerokości kołderki. Z brzegu należy wykonać * 1 ścis. ocz. w drugie z rzędu ocz., 10 pow. ocz., ostatnie ocz. spuścić z szydełka, poczem niebieską włóczką 1 ścis. ocz. w drugie z rzędu ocz., 10 pow. ocz., ostatnie ocz. spuścić, od * powtórzyć, krzyżując przytem ząbki podług wzoru.

Sposoby na stracenie piegów.

(Na żądanie).

Bardzo wiele jest sposobów zniszczenia piegów, podajemy tu kilka, radząc zawsze, żeby owych zagranicznych sposobów nie używać, bo te mogą pomódz na piegi, ale niszczą skórę. Otóż doskonale jest natrzeć piegi na noc cytryną, a rano zmyć miękką wodą. Sok z poziomka lub ogórków używany na noc do mycia, jest także bardzo skuteczny. W handlu perfumeryi pana Lipinga, Niecała Nr 1, jest woda ogórkowa i woda poziomkowa paryżkiego wyrobu, nie szkodliwa na skórę, a bardzo dobrze działająca na piegi. Na opalenie od słońca najlepiej jest myć na noc twarz mlekiem kwaśnym lub maślaną, a rano zmyć wodą zimną.

L. C.

Przepisy gospodarskie

Przyczynę do robienia dobrych likierów.

Bardzo często się zdarza, iż likier zrobiony najstaranniej, podług przepisu danego, cukrzyje się w kil-



Nr 11. Suknia z gładkiego i w centki materiału.
Opis odwr. str. tabl.

Nr 12. Suknia z beżu.
Opis pierw. str. tabl.

ka dni nawet, powodem tego jest za mała ilość wody, użyta do cukru, której podług przepisów użyć należy tyle tylko, ile w cukier wsiąknie; że jednak nie każdy trzyma cukier tak długo w wodzie, aż przestanie syczeć, czyli póki przyjmie dostateczną ilość wody w siebie, najlepiej więc liczyć zawsze szklanę zwyczajną wody, na funt cukru, gotując go nie zbyt długo, aby się nie skryształizował wkrótce. Najlepszym jednak sposobem uniknięcia zcukrzenia, jest używać do likierów zamiast cukru, syropu cukrowego, który niektóre fabryki cukru wyrabiają. We Francji wszystkie likiery robią na syropie, ale też tam syrop cukrowy jest zupełnie biały, przezroczysty, u nas bywa po większej części żółtawy, dla tego tylko do owocowych likierów, lub mocno korzeniami zabarwionych używać go można. Do kawowego, waniliowego lub ananaso-

wego, a nawet różanego, jest za żółty, zabarwiły płyn. Można więc do cukru dolać jedną-trzecią część syropu, a już nie będzie się krystalizował. Mylne jest mniemanie, iż we Francji robią likiery na glicerynie, gdyż ta ostatnia nie ma w sobie dostatecznej ilości słodczy; wraze zcukrzenia likieru, zlać go w inną flaszkę na skryształizowany cukier wlać wody, aby go pokryła, wstawić flaszkę w rondel z zimną wodą i gotować do rozpuszczenia cukru, następnie dolać do tego cukru spirytusu w proporcji drugiej połowy i wymieszać wszystko z likierem. Przy użyciu syropu cukrowego, wyrabianego w cukrowniach, nigdy tu miejsca mieć nie będzie. Mały jednak obdyt takiego syropu, w obec taniości cukru sprawia, iż go rzadko dostać można w kolonialnych składach.



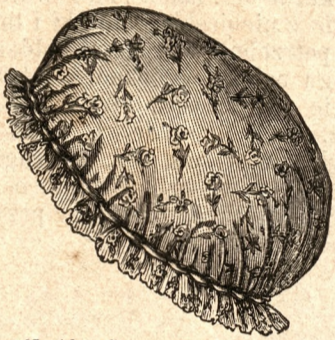
Nr 14. Suknia z wełny i repsu „ottoman”. Plecy. (Do ryc. 21 w Bl. Nr 26).



Nr 13. Ubranie kąpielowe dla panienki od 12 do 15 lat. Krój i opis odw. str. tabl. Nr VIII, fig. 39 — 43.



Nr 15. Suknia z kaszmiru i bengaliny. Plecy. (Do ryc. 19 w Bl. Nr 26).



Nr 16. Czepeczek kąpielowy. Opis pierw. str. tabl.



Nr 19. Płaszczek kąpielowy dla panienki. (Opis odw. str. tabl.)



Nr 18. Ubranie kąpielowe dla pań. Krój i opis odw. str. tabl. Nr IX, fig. 44.



Nr 20. Spódnica dla pań. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 25—28.



Nr 17. Czepeczek kąpielowy. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 29.



Nr 23. Suknia z fularu. Opis odw. str. tabl.



Nr 21 i 22. Kamizelka i marynarka do ryc. 17 w Bl. Nr 26.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa bez śmietany „bisque”.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Sztufada z młodej jarzynkami.
4. Szparagi.
5. Kurczęta ze śmietaną.

U W A G A.

Opis ryciny 3 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do dzisiejszego numeru.



Nr 24. Suknia z gładkiego i w kratkę materyału. Opis odw. s. t.